

Dwa w jednym
~antologia~



GDANSKI KLUB
FANTASTYKI

Dwa w jednym

Dofinansowano ze środków Miasta Gdańska.

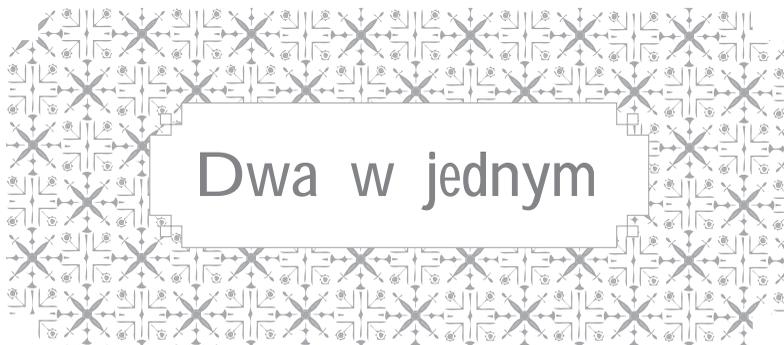


Informator GKF #295
wydanie specjalne

ISSN 1505-8475

Publikacja non-profit wydana w ramach projektu
„Warsztaty pisarskie dla młodzieży 2013 stopień podstawowy”.

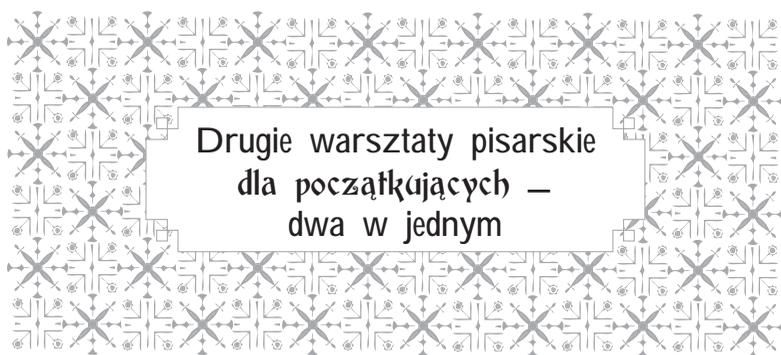
Redakcja:
Magdalena Kaczmarczyk,
Michał Szklarski
Ilustracja na okładce:
Sławomir Wojtowicz
Opracowanie graficzne:
Ka Leszczyńska
Skład:
Tomasz Hoga
Druk:
Print Group Sp. z o.o.



Gdańskie Klub Fantastyki
Gdańsk 2013

Spis treści

- ☰ Drugie warsztaty pisarskie
dla początkujących – dwa w jednym 5
- ☰ Eliza Budzioch *W sieci* 8
- ☰ Zofia Jaremczuk *Przypadek* 14
- ☰ Katarzyna Marczak *Niepokoje* 21
- ☰ Emilia Rusel *O astronautach* 28
- ☰ Dominika Szapar *Echo* 73



Drugie warsztaty pisarskie dla początkujących – dwa w jednym

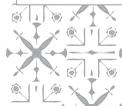
W ręce czytelników oddajemy specjalny, literacki numer „Informatora GKF” – owoc warsztatów pisarskich zorganizowanych przez Gdański Klub Fantastyki dla młodzieży z gimnazjów i szkół średnich. Projekt otrzymał dofinansowanie Miasta Gdańska w konkursie dotacyjnym Biura Prezydenta ds. Kultury na rok 2013. Były to już trzecie warsztaty pisarskie zorganizowane przez GKF w ostatnich trzech latach i drugie w formule „podstawowej”. Ich założeniem było udzielenie profesjonalnego wsparcia w budowaniu podstaw warsztatu pisarza.

Szkolenie nie mogłoby się odbyć bez nieocenionego wsparcia Klubu Osiedlowego „Maciuś I” przy Powszechniej Spółdzielni Mieszkaniowej „Przymorze”, który nieodpłatnie udostępnił sale na dwadzieścia pięć godzin zajęć. Bez wielkiego zaangażowania i bezinteresownej pomocy pani Urszuli Lisowskiej zarówno ta, jak i wiele innych inicjatyw Gdańskiego Klubu Fantastyki nie miałyby szans powodzenia.

Warsztaty skierowane były do młodych mieszkańców Gdańska i uczniów gdańskich szkół. Bezpośrednia promocja polegała na rozwieszaniu plakatów w szkołach i kawiarniach literackich Wrzeszcza, Zaspy i Przymorza. Udział był całkowicie bezpłatny. O przyjęciu decydowała kolejność zgłoszeń.

Szkolenie prowadziła Magdalena Kaczmarczyk, nauczycielka w szkole społecznej, a prywatnie miłośniczka Tolkiena i prowadząca kluby literackie dla gimnazjalistów.

Warsztaty obejmowały sześć sesji. Na pięciu z nich uczestnicy poznawali wyodrębniony temat z zakresu warsztatu pisarza (w części teoretycznej) oraz brali udział w ćwiczeniach (w części praktycznej). Następnie ich zadaniem było przygotowanie w domu krótkiej pracy





z wykorzystaniem wiedzy wyniesionej ze spotkania (np. zaprojektowanie postaci). Powstające w ten sposób „wprawki” miały być podstawą do napisania krótkiego opowiadania. Nie było ograniczenia konwencji literackiej: w szczególności nie wymagaliśmy, aby przygotowywane utwory mieściły się w ramach fantastyki. Zadaniem uczestnikom było jednak zmieszczenie się w ogólnie określonym temacie. W obecnej edycji warsztatów przyjęto temat „dwa w jednym”, z czego wynika również tytuł niniejszego zbioru.

Szóstą sesję, o nazwie „Spotkanie z mistrzem”, poprowadziła Ewa Białołęcka, omawiając zagadnienia warsztatowe i przygotowanie do wydania tekstu literackiego z punktu widzenia doświadczonego pisarza.

Do końca warsztatów dotrwało siedmioro uczestników. Pięcioro z nich przygotowało opowiadania, które – po przygotowaniu redakcyjnym i korektorskim – prezentujemy w niniejszym „Informatorze GKF”.

W *sieci* Elizy Budzioch buduje napięcie wokół nagle zerwanych relacji z przyjaciółką. Krótkie, konkretne zdania budują napięcie i sprawiają, że tekst jest dynamiczny i „do rzeczy”. Oszczędna forma (bardziej strumień świadomości i krótkie, urywane wypowiedzi przez komunikator niż złożone opisy) odpowiada pomysłowi na tekst. *Przypadek* Zofii Jaremczuk to równie zwarte opowiadanie w konwencji sensacyjnej. W zgodzie z przyjętą konwencją autorka prowadzi dynamiczną akcję, nie rozwodząc się nad scenerią. Ciekawy jest kontrast dwóch typów bohaterów, opisany oszczędnymi, krótkimi zdaniami. W *Niepokojach* Katarzyna Marczał opisuje historię alternatywną wybuchu powstania listopadowego, w której zderza dwie koncepcje niepodległości Polski. W tej wersji historii generał Chłopicki nie przebywa w swoim ulubionym teatrze i już w trakcie Nocy Listopadowej spotyka powstańców.

Choć *O astronautach* Emilii Rusel to bardzo długi utwór, jest on jednak spójny kompozycyjnie. Świat przedstawiony jest tu dobrze przemyślany i konsekwentnie opisany. Sceneria fantastyczna jest tu tłem, na którym rozgrywa się pierszoplanowy dramat stopniowego budowania relacji przez zamkniętą w sobie, pogrążoną w depresji bohaterkę. Narracja jest spokojna, introspekcyjna, niespieszna, trochę poetycka, trochę ponura. W zamykającym zbiór *Echu* Dominika Szpar eksploruje alternatywne światy tkwiące w psychice. Przemyślana konstrukcja fabularna obejmuje „zagnieżdzone” czasy i przestrzeń. Tytułowe echo dotyczy zdarzenia z przeszłości, z którym bohater nie

może się uporać. Na kartach opowiadania echo powraca raz jeszcze, pozwalając zmierzyć się z przeszłością.

Celem warsztatów literackich było pokazanie, że w pisaniu prozy przydatna jest wiedza teoretyczna, a niezbędne – ćwiczenia praktyczne. Jednocześnie chodziło o zaakcentowanie, że choć przygotowanie tekstu wymaga dużo pracy, to warto uwierzyć w siebie i wykonać ją, by osiągnąć ostateczny efekt. Efekt ten widzimy na kolejnych stronach. Wszystkie pięć opowiadań zamieszczonych w tym zbiorze to teksty debiutanckie. Przed autorami jest sporo pracy, ponieważ praca nad własnym warszatem nie kończy się nigdy. Mając jednak za sobą pierwszą publikację, mogą śmiało mierzyć się z tym zadaniem.

W imieniu Autorów, GKF-u i wszystkich osób zaangażowanych w przygotowanie niniejszego wydawnictwa życzę Czytelnikom przyjemnej lektury.

Michał Szklarski





W sieci

Eliza Budzioch

Facebook. Kto by pomyślał, że to właśnie on będzie przyczyną większości moich problemów. Tak, te emotikonki przez każdego rozumiane inaczej. Miały pomóc w odczytywaniu wiadomości. Są problemem, ich używanie jest nałogiem. Wszystkich! A jeśli nie jesteś uzależniony – powodzenia. Ile osób już ciebie pytało, czy na pewno chcesz z nimi rozmawiać? Pewnie na twoje zdziwienie, skąd ta myśl, odpowiadały coś w stylu: „a, bo nie używasz emotikonek”.

Ech, te problemy początku XXI wieku. Wydają się bez znaczenia – póki samemu się w taki nie wpadnie.

Siedzę właśnie przed laptopem i rozmawiam z trzema osobami.

Nie.

Poprawka - rozmawiam z dwiema osobami. Trzecie okno rozmowy jest po prostu otwarte, a wiadomości, które tam się pojawiały w ciągu ostatniej godziny... Są tylko moje. Jedyne, co otrzymuję w odpowiedzi, to informacje: „Wyświetlono: 21:38”.

W sumie to nie wiem, co się stało. Zdążyłam wybać, że tylko ja jestem ignorowana.

Na biurku leży otwarty podręcznik do polskiego. Używam go pierwszy raz, ma jeszcze ten zapach nowości, który dla większości jest taki przyjemny.

Nadal gapię się w monitor. Nie skupię się na polskim. Świadomość, że coś się stało, nie pozwala mi myśleć o nauce.

Szybka decyzja – kolejna wiadomość.

„ej, coś się stało?”

Denne zagranie, ale czy ja mogę coś więcej?

„Wyświetlono: 21:45”

I tyle. Nic więcej. Pytanie brzmi... Dlaczego?
Spoglądam na podręcznik – muszę to w końcu zrobić.

*

Jedna, druga i trzecia myśl.
Pierwsza, druga i trzecia godzina.
Czemu się nie odezwałaś?
Czwarta, piąta, szósta – trzeba wstać za pół godziny.
Czemu nie odpisałaś?
6:30.

Łapię małą lampkę nad biurkiem. Migające z początku światło przyprawia mnie o zawroty głowy. Jedna noc z głowy.

Chwytam komórkę. Już piszę sms, już wybieram ten konkretny kontakt – osoby, z którą pisałam codziennie od momentu postawienia nogi na dywanie...

No tak. Nie odpisze.

Zmieniam kontakt i treść.

„Hej, czy wszystko u ciebie ok? Masz dobry kontakt ze wszystkimi?”

Boże, jaka tandetna, sztuczna wiadomość. Jaka wylewająca się chęć załatwienia swoich spraw.

Głęboki wdech.

Wyślij.

Wstaję i zaczynam szykować się do szkoły. Sytuacja jest straszna. Zarwana nocka i na odwal odrobiona praca domowa.

Tego dnia nie zaliczę do najlepszych.

*

Dźwięk zatrzymującego się pociągu, dym papierosowy idącej przede mną osoby, przejeżdżający przede mną samochód, rozmowy dwóch dziewczyn idących za mną.

Niech to się skończy!

Zapalające się białe, podłużne lampy w klasie. Intensywność otaczających mnie kolorów. Mam wrażenie, jakby mówiły do mnie.

Niech wszystko zgaśnie.

Głosy dwudziestu pięciu osób, rozmowy.

Przerwa. Dzwonek, gwar, pisk, muzyka. Czas jakby zwolnił. W sumie nie jestem świadoma tego, co się dzieje naokoło mnie. Ktoś do mnie podchodzi, łapie za ramię i o coś pyta. Odpowiadam twierdząco i zostaję sama.

Wibracje.

Sms!





„U mnie ok. Ale wiem, że ze sobą nie gadacie”.

No tak, to ma sens.

„A może jeszcze znasz powód?”

„Nie, a jaki jest?”

„Sama chciałabym to wiedzieć”.

Mam wrażenie, że oddalamy się, a jednocześnie chyba nic szczególnego się nie dzieje. Już nawet nie wiem, czy wczorajszy dzień istniał.

Konam. Padam.

Wracam do domu.

*

Siedzę tu i czekam na cud. Wyświetlenie jedno, po każdej wiadomości, żadnego słowa, nic. Spróbuj to poczuć. Potrzebuję cię. Jednak tego brak. Jestem. I staram się dać ci ten sygnał. Wszystko, co w sobie mam, ciągnie mnie w dół. Czuję, że powoli umieram. Milczysz – wypłuj to! Niech w końcu się stanie.

*

Czemu znowu ja się martwię? Czemu mam wrażenie, że ty siedzisz w domu, śpisz, czytasz, odpoczywasz, a ja zasuwam do szkoły, dostaję jedną jedynkę za drugą, umieram, bo nie wiem, co się dzieje?

Nie podoba mi się to... Czekanie w bezsensie. Czemu to ja mam się martwić? Dlaczego właściwie nie możesz mi prosto z mostu napisać, o co chodzi?

Miałyśmy sobie mówić co nam leży na sercu, miałyśmy dać sobie ze wszystkim radę...

A ty po prostu mnie zostawiłaś.

O co chodzi?

Mam dość problemów na głowie. Czemu przyjaciółka musi mi dowalać jeszcze bardziej? Po co? Jaki to ma sens?

Jeśli beze mnie jesteś w takim stanie, jak ja bez ciebie, to po co chcesz nas obie katować? Nie możemy po prostu tego wywalić? Nie możemy tego skończyć?

Nie, w tym momencie jestem wkurzona.

Tak, zostaw mnie! Rozwal mi psychikę, stan fizyczny, tryb dnia i oceny! Bo po jaką cholere masz mi napisać, co ci zrobiłam? Po co?

Naprawdę myślisz, że jeśli nie wiem, o co chodzi, to po dwóch tygodniach nagle się domyśle?

Myślisz, że to w porządku?

*

Siedzę tu i czekam na cud! Wyświetlenie jedno, po każdej wiadomości, żadnego słowa. NIC! Spróbuj to poczuć. Potrzebujemy siebie.

Jednak tego ci brak. Jestem. Staram się dać ci ten sygnał! Wszystko, co w sobie mam, ciągnie mnie w dół. Czuję, że powoli umieram. Milczysz – wypłuj to! Niech w końcu się stanie! Niech się skończy. Żadna z nas nie chce tego ciągnąć.

*

– Ja bym się do niej nie odzywała. Zapomniałabym, póki ona nie zacznie. Chcesz być jej „wiernym pieskiem mimo wszystko”?

– Nie. Mam poczucie pewnej niesprawiedliwości. Ale nie mogę przestać myśleć. – Skrótowa odpowiedź na radę, która byłaby dobra, gdyby nie to, że jesteś zbyt ważna.

Tak, że nie potrafię przestać kochać. Głowę wypełnia mi jedna myśl:

Nie jestem w stanie spokojnie czekać, bo to jak żyć bez wody. Usycham, a że z mojej strony to miłość bezwarunkowa, nie mogę wytrzymać dnia bez ciebie. Dlatego, jakkolwiek bym nie była zła, po prostu nie mogę się gniewać, bo gniew oznacza chwilową izolację od ciebie. A izolacja zabija nie ciebie, lecz mnie.

– A jednak przydałoby się, abyś na chwilę przestała. Ona przegina. A zresztą, ty też, zbyt mocno się przywiązujesz. – Odeszła.

Siedzę sama na korytarzu z myślami wirującymi jakby w pralce. Kolory się mieszają. Już nie wiem, która bluzka była biała i czy na pewno miałam różowe skarpetki. Białe i czarne stworzyły szary, a czerwien zamieniła się w róż. Wszystko nagle straciło swój pierwotny urok. Nie jestem pewna, co czuję, czego oczekuję, czego chcę.

Tyle godzin bez snu daje o sobie znać.

Wielka niesprawiedliwość, jaka mnie dosięgła, właśnie do mnie dotarła. I to nie w odniesieniu do tej sytuacji. Poczulałam życiową niesprawiedliwość. Z całego życia. Wszystkie sytuacje, których wcześniej nie rozumiałam.

Na swojej imprezie trzeba sprzątać i nie pozwalać gościom sprzątać. Będąc na cudzej imprezie należy pomagać. To przecież nie ma sensu!

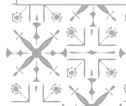
Mając piątkę z angielskiego w podstawówce rywalizowałam o poprawę z koleżanką z oceną 3. Ja mogłam dostać TYLKO 6, ona AŻ 6. Oczywiście, że ona wygra, mimo że to ja jestem lepsza. Kto wymyślił taki konkurs? Co za idiota?

Nie odzywasz się do mnie i nie raczysz poinformować mnie chociaż o powodzie? To ja powinnam się obrazić – chociażby o to, że nie powinniśmy w ten sposób siebie traktować!

Amen.

*

Siedzę tu i czekam na cud. Wyświetlenie jedno, po każdej wiadomości, żadnego słowa, nic. Spróbuj to poczuć. Potrzebuję cię. Ale wiem,





że ty mnie też. Wierzę, że w końcu to zrozumiesz. Jednak tego ci brak. Jestem, staram się dać ci ten sygnał, mimo wszystko chcę pomóc ci wrócić do nas. Milczysz – wypluj to! Niech w końcu się stanie. Pokaż, że potrafisz!

*

Trzeci dzień.

Żyję wspomnieniami. Nadzieję na to, że jeszcze chwila, jeszcze moment i będzie jak wcześniej. Wierzę w to, że to przetrwamy. Bo to jesteśmy MY. Dwie tak różne, a jednocześnie takie podobne. My dwie łączymy się w jedną przyjaźń. Tę najlepszą, bo przetrwamy ten mały kryzys.

Pamiętasz? Wszystkie wspólne chwile, głupie pomysły, typowe dla nas plotki, zabawy. I te rzeczy, o których wstyd opowiadać, ale są najlepszymi wspomnieniami. Tylko dla nas.

Tyle czasu razem, tylko wspólnych dni, nocek, rozmów, śmiechów.

Obie dobrze wiemy, że za dużo tego było, abyśmy mogły bez siebie żyć.

I na tej podstawie wiem, że w NAS nie ma i nigdy nie będzie słowa „koniec”.

*

Siedzę tu i czekam na twój ruch. Wyświetlenie jedno, po każdej wiadomości, żadnego słowa, nic – to chwilowe. Spróbuj to poczuć. Potrzebujemy siebie. Jeszcze chwila. Jestem i staram się dać ci ten sygnał... Milczysz – wypluj to! Niech w końcu się stanie.

*

Coraz częściej nachodzą mnie myśli, że to nie jest takie proste... że jest zbyt poważne. Nie mam ochoty już udawać, że żyję nadzieją. Raczej jest dziura... pusta dziura.

Słabo sypiam... Jest tragicznie. Nie pamiętam, co się dzieje w szkole, wchodzę tam i wychodzę... Tylko tyle.

Czasem przed sobą widzę mały płomyczek. Unosi się w powietrzu na wysokości moich oczu.

Nie wiem czemu. Ale chcę go złapać. Pragnę tego.

Wyciągam rękę.

Umknął.

I jeszcze raz.

I znowu odleciał.

Biegnę za nim.

Napędza mnie nadzieja. To, że upadliśmy, nie znaczy, że przegraliśmy. Możemy wygrać. Najwięcej! Tylko musimy się podnieść.

Już jestem blisko. A on ciągle ucieka w ostatniej chwili.

Podaj rękę. Pociągnij. Przełam się. Zapomnij. Napisz.

Co ma być, to będzie. Przeżyjemy to wspólnie!

Razem!

Wierzę.

Płomyczek się zatrzymał.

Podchodzę, staram się go dotknąć.

Czuję jego ciepło...

Budzę się.

„Mam już dość. Obie. Wkurzacie mnie. Macie się do siebie odezwać. W tej chwili. Amen. Jak nie ty, to ja coś zrobię”.

„Nie mam co zrobić”.

Nie odpisuje. Oczy powoli mi się zamykają... Za długo. Sen, potrzebny jest mi sen.

To koniec.

Czas się poddać...

Telefon zapala się. Dźwięk przychodzącego SMS-a jest jak sztylet w uszy.

Mam dość. Nie odbiorę. Nikt ani nic już mnie nie interesuje.

Kolejny SMS.

O co wam chodzi? Czemu akurat teraz chcecie mnie obudzić?

TO KONIEC!!

Trzeci SMS.

Sięgam po komórkę.

Skrzynka pocztowa.

„Zostały ci 3 dni na rozmowy – doładuj konto”.

Świetnie. Bardzo mnie to interesuje.

„Ocknij się. Wchodź na fejsa. Już!” – Po co? Nie mam ochoty... Już nigdy.

Trzecia wiadomość jednak sprawiła, że wstałam. Uruchomiłam ponownie komputer i zalogowałam się na fb. Jeszcze nigdy nie pragnęłam czegoś aż tak bardzo.

Internet jednak chodził trochę wolniej, niż bym chciała.

Spojrzałam jeszcze raz na SMS od ciebie.

„Hej. Wejdz na fejsa... musimy pogadać”.





Przypadek

Zofia Jaremczuk

Obudziła się. Pierwsze, na co zwróciła uwagę, to biurko - pełne książek, zeszytów i notatek. Nie lubiła szkoły, jednak uważała, że oceny są ważne. Florence. Miała wtedy 15 lat, idealnie spełniała definicję idealnej blondynki o idealnym charakterze z idealnymi osiągnięciami w szkole. Jedyne, co nie było wówczas idealne, to jej waga (wymagowane 5 kilogramów za dużo) i rodzice, których nigdy nie było w domu - taki już żywot bogatych prawników, którzy mają dziecko, bo chcą mieć kogoś do kochania. Jej ostatnia rozmowa z rodzicami miała miejsce 4 dni temu, nie licząc telefonów.

Spakowana wyszła z domu. Za 15 minut miały zacząć się zajęcia w szkole, jednak zostało jej tylko 5 minut drogi. Mieszkała w bogatej dzielnicy na przedmieściach Londynu, lecz tak naprawdę była to dzielnica bogatych ludzi sukcesu, którzy nie mieli czasu dla swoich „pociągów”.

Młodzież i dzieci dzieliły się tu na dwa typy. Pierwsza: to dojrzały „buntownicy”, którzy za szybko wkraczali w dorosłość, w wieku 14-15 lat sięgali po narkotyki kupione za pieniądze rodziców; naturalnie to nie reguła, ale częsty przypadek. Druga: to wychowywane przez niańki, wierne kopie swoich rodziców - „ideały”. Naturalnie przedstawiciele jednej grupy nie przyjaźnili się z drugą grupą i na odwrót. Flora była „ideałem”, kumpłowała się z ideałami i oczywiście gardziła „buntownikami”.

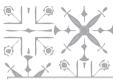
*

Podążała swoją codzienną trasą, skręcając jak zwykle, do tej samej szkoły, co zwykle. „Monotonność” – to słowo nurtowało ją od dawna. Nagle postanowiła skręcić i poszła skrótem. Po dwóch minutach jednostajnego marszu w ciszy odwróciła się i zamarła ze strachu. Auto, które widziała przy wyjściu z domu, właśnie zatrzymało się lekko metr od niej. Wysiedli z niego dwaj dobrze zbudowani mężczyźni ubrani na czarno. „Kto to jest?”, „jak mnie znalazł – czy o mnie mu chodzi?”, „pewnie mnie śledzili”, „po co?”, „dlaczego?” – jej myśli skoncentrowane były tylko na czarnym samochodzie i na tych mocno podejrzanych typach. Flora zerwała się do ucieczki, ponieważ zdążyła się domyślić, że to legendarny gang wyrzutków, którzy zasłynęli licznymi porwaniami dzieci bogatych ludzi, żądając potężnego okupu. Flora myślała, że po porwaniu syna pana Smitha – jednego z najlepszych sędziów w Brytanii – w 2011 roku gang zawiesił swoją działalność. Nie zdążyła nawet przebiec trzech kroków, gdy poczuła mocne szarpnięcie za ramiona – jeden z „goryli” właśnie zerwał z niej plecak. Akcja potoczyła się szybko: drugi pomógł mu i złapał Florence za ręce, boleśnie je wykręcił i brutalnie zaprowadził ją w kierunku auta. Dziewczyna szarpała się i piszczała, jednak nic to nie dało. Silna dłoń zakryła jej usta i nos i odcięła tlen. Ugryzła ją i prawie natychmiast usłyszała wrzask mężczyzny. W ustach poczuła metaliczny smak krwi – nie swojej, lecz jednego z goryli. To nic nie pomogło, wręcz przeciwnie – nawet zwiększyło jego brutalność. Wepchnął ją do auta i jakies ręce od razu zatkały jej usta szmatą. Rzuciła się, starała się wydostać, ale nie zaowocowało to niczym poza tępym i paraliżującym uderzeniem w głowę. Ostatnie, co zobaczyła, to drugi goryl niosący jej plecak do bagażnika.

*

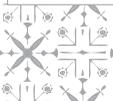
Odzyskała przytomność. Czowała, że jest niesiona na czyichś rękach, w oddali usłyszała basowe męskie głosy, rozmawiające o zaistniałej sytuacji. Nic nie widziała, jednak postawiła udawać nieprzytomną – miała nadzieję dowiedzieć się czegoś ciekawego.

– ...a widzisz, jak mnie ugryzła? – dostyszała jeden głos, prawdopodobnie pierwszego Goryla



15

Zofia
Jaremczak



– W dodatku mało brakowało, aby sama się zabiła tak rzucając się w aucie – skończył drugi

– Poczekajcie, chyba już minęliśmy te drzwi – usłyszała jeszcze jeden głos, trochę mniej groźny.

– Gabinet Szefa jest tam, na końcu korytarza, trochę trzeba się namęczyć, żeby tam dojść, szczególnie z nią na rękach – pierwszy raz usłyszała głos mężczyzny, który ją niósł. – W ogóle to jak ona się nazywa?

– Florence Rosehill, jej starzy to prawnicy, więc dadzą za nią niezłą sumkę. Śledzenie jej przez ostatnie tygodnie szło mi jak po maśle, więc wiem o niej więcej niż trochę – pochwyciła głos jakieś kobiety.

Flora nie myliła się – trafiła tu w celu uzyskania okupu. Dosłyszała, jak ktoś delikatnie otwiera drzwi. Dziewczynę posadzili na kanapie pomiędzy dwa umięśnione, ciepłe ciała. Dopiero teraz zdjęli z jej twarzy stęchły worek i jego smród znikł, jednak natychmiast zastąpił go obłędnie słodki zapach wypełniający cały pokój. Na ile mogła, rozejrzała się po dużym, idealnie kwadratowym gabinecie. Na środku znajdowało się czarne biurko, a za nim czarne, skórzane krzesło. W fotelu naprzeciwko niej, w odległości dwóch metrów, znajdowała się ledwo widoczna postać. W całym pomieszczeniu było ciemno – rolety zasłaniały okna i jedynym źródłem światła była jaskrawo świecąca lampka biurkowa. Chyba wszyscy zorientowali się, że jest przytomna, ponieważ Szef zaczął.

– Ooo, nareszcie – głos okazał się brzmieć ochryple i staro. – Długo musiałem na ciebie czekać, ale opłaciło się. Dostałaś się w moje sidła i wiedz, że nie wypuszczę cię łatwo, a nawet jeśli, to nie tanio. Wiem o tobie więcej, niż ci się wydaje. Powiedz mi, Floria, jak minęła ci podróż? – zakpił

– Flora. Mam na imię Flora, nie Floria.

– Flora? Ach tak, mój błąd, przyznaję – zaczął śmiać się, wkrótce przyłączyła się do niego cała reszta bandy – Tak więc, FLORO - mój plan jest prosty. Za dwa dni nagramy film, na którym powiesz rodzicom, że jesteś porwana i że chcesz się stąd wydostać. Wyślemy go twoim rodzicom, wpadną w rozpacz, ale zaproponuję im gotowe rozwiązanie: otóż wystarczy, że zapłacą mi 500 tysięcy. Jeśli rodzice zapłacą na czas, nic

złego ci się nie stanie. Jeśli nie, to naszym jedynym problemem będzie wywiezienie gdzieś twoich zwłok. – Zobaczyła, jak na twarzy Szefa powoli pojawia się uśmiech. – Myślę, że wszystko już sobie wyjaśniliśmy. Weźcie ją stąd.

Z powrotem zakłóżyli jej śmierzdzący worek na głowę i zmusili do wstania.

*

Podczas ostatnie 15 minut prowadzili ją po skomplikowanych korytarzach. Parokrotnie jeździła windą, w dół lub w górę. Prawdopodobnie całe to krążenie miało na celu zmylenie jej, na wypadek gdyby myślała o ucieczce.

*

Siedziała na łóżku. Nareszcie zdjęli jej worek z głowy. Ku jej zaskoczeniu z pięcioosobowej grupki zostało tylko dwóch goryli, jej „ochroniarzy”. Jeden z nich mówił coś i pokazywał na stół, na którym znajdował się obity talerz z zeschniętymi kanapkami. Ona nic nie słyszała, przetwarzała wszystkie dzisiejsze informacje. Zmiany w życiu, skrót, czarne auto, krew, ból, porwanie, rozmowa (a raczej monolog Szefa), zagrożenie śmiercią, okup i to duży. Te wszystkie słowa wirowały w jej głowie jak tornado. Nic nie rozumiała z wypowiedzi goryla, który wychodził już z pookoju wraz ze swoim kolegą. Zanim zamknął drzwi, Florence zauważyła jeszcze bandaż oraz krew przesiąkającą przez opatrunek na ręce jednego z nich. To musiało być bolesne ugryzienie – pomyślała.

*

Na początku zauważyła tylko rude włosy, później całą resztę. Jej oczy zdawały się lśnić w ciemnym pomieszczeniu. Też siedziała na łóżku, jednak pięć minut po zamknięciu drzwi przez goryli wstała i wtedy Flora zauważyła szczupłą a nawet chudą postać o posturze modelki, o nieziemsko zgrabnych i długich nogach. Natychmiast zaczęła zazdrościć jej wyglądu. Dziewczyna, na oko starsza od niej o rok, szybko chwyciła talerz stojący na stole, jednak po chwili zastanowienia



odłożyła go i wzięła tylko jedną kanapkę. Wróciła, usiadł na łóżku i jadła. Dziewczyna gapiała się na rudą przez długą chwilę.

– Mila – powiedziała wreszcie.

– Przepraszam?

– Emila, ale w sumie co za różnica – wzruszyła ramionami dziewczyna..

– Florence Rosehill – przedstawiła się również. – Mam 15 lat.

– Tak, tak – powiedziała Mila – znam cię, jesteś „ideałem”.

– Wcale nie! – zaprzeczyła Flora – Też ciebie kojarzę, jesteś jednym z „buntowników”.

– Nie jestem jednym z nich już od ponad czterech miesięcy – spokojnie wyjaśniła. – Jak tu trafiłaś?

– Nie wiem, dla okupu, ale to chyba jest oczywiste.

– Tak, ja też.... Chcesz jedną? – jej ręka wskazywała na dwie pozostawione zeszcłe kanapki

– Dziękuję – Flora wzięła do ręki lekko czerstwy chleb. Ugryzła go – był kwaśny.

– Jestem tu od trzech dni, dzisiaj nagrywali film i jeśli moi rodzice nie zapłacą za mnie za tydzień, to mogę się już z tobą żegnać – zwierzyła się Mila – Ciebie też spotka to samo, jeśli twoi nie zapłacą.

– Wiem – przytaknęła. Postanowiła skierować się rozmowę na inny temat. – Czym zajmują się twoi rodzice?

– Chirurgią.

– Ty też chcesz zostać chirurgiem? – drążyła Flora, lecz odpowiedział jej tylko stłumiony poduszką płacz.

*

Tak mijały im całe dni, na rozmowach o rodzinie, nauczycielach, domu. Marzeniami powracały do dawno nieodkrywanych zakątków wyobraźni. Rytuał ten zaburzali jedynie goryle przynoszący jedzenie i wspominający, że ich rodzicom kończy się czas. Głównie czytały zawartość plecaka Flory, by nie oszaleć do reszty. Emila okazała się zamkniętą w sobie i lekko niezdarną osobą. Pomimo różnic charakterów dobrze się rozumiały, zostały przyjaciółkami. Co chwilę powtarzały, że ich przyjaźń to dwa w jednym (przyjaźń i śmierć). Bardzo dużo czasu spędzały na planowaniu nierealnej ucieczki.

Pomimo sprzeciwu koleżanki Mila zaczęła pisać pamiętnik w zeszy-
cie od chemii Flory. Wkrótce dziewczyna też się do tego przekonała.
Ktoś musiał sprawdzać, co tam wypisywały, ale nie znajdowali tam nic
ciekawego. Czwartego dnia pobytu Florence w Ośrodku, jak zwykły
nazywać miejsce swego uwięzienia, SzeF oznajmił, że wydłużył ich
rodzicom czas na zebranie pieniędzy, ponieważ mają z tym kłopoty.
Naturalnie ich rodzice robili pewnie wszystko co w ich mocy, ale wy-
glądało na to, że klamka już zapadła. Pewnego dnia Flora dostała
mdłości po spleśniałej kanapce i wymiotowała w kącie. Goryl, który
to zobaczył, natychmiast kazał im otworzyć okno w celu wywietrzenia
strasznego smrodu. OKNO?! Rzeczywiście znajdowało się tuż pod
sufitem, miało wielkość monitora komputerowego. Dziewczęta nie
zauważyły go w tych ciemnościach, szczególnie że było zabite trzema
deskami. Sprawnie wykorzystały tę informację. Już następnego dnia
zaplanowały ucieczkę.

*

Była pierwsza po północy. Dziewczęta ostrożnie zakryły kamery
kocami i zaciągnęły jedno z łóżek pod ścianę. Wspięły się i wybiły
okno pod sufitem. Pomagając sobie wzajemnie, wygramoliły się na
zewnątrz. Nareszcie wydostaną się z Ośrodka. Mila miała mocno ska-
lęczone ramię, w które wbił się spory kawałek szkła. Znajdowały się na
obrzeżach miasta, w miejscu, gdzie stało kilka zrujnowanych budyn-
ków przeznaczonych do rozbiórki.

– Tędy! – wrzeszczała Flora pokazując drogę. – Szybciej, szybciej.

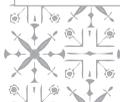
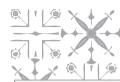
Nagle powietrze rozdarł ogłuszający alarm.

– To przez nas!

– Wiem – opowiedziała krwawiąca Mila. Zza ich pleców rozległ się
gwałtowny huk włączających się silników aut i motorów. – Pewnie SzeF
postawił na nogi całą swoją ekipę.

– Tak, tak, porozmawiamy w domu, jak już tam dotrzemy.

Dziewczyny starały się szybko ocenić sytuację. Miały dwa wyjścia.
Pierwsze: zacząć wołać o pomoc, co wydawało im się głupotą na takim
odludziu, o tej porze. Drugie: uspokoić się, opatrzeć Milę i szukać
schronienia, w jakimkolwiek domu. Wybrały drugą – schowały się
w jednej z ruin i zaopiekowały się ramieniem Mili.



*

Gdy opanowały najpilniejszy problem, szybko starały się wymyśleć sposób, w jaki sprowadzą pomoc, jednocześnie nie ściągając na siebie uwagi porywaczy. Nie zostało im nic innego, jak poszukać jakiegoś środka transportu. Czatowały przy zabitym deskami wyjściu, wypatrując samochodu. Po kilku minutach zauważyły nadjeżdżające auto. Wybiegły natychmiast na ulicę i zatrzymały je, wymachując rękami. Był to starszy mężczyzna, który wracał właśnie do domu z wieczornej zmiany w fabryce. Auto, którym jeździł, było mocno stare i zdezelowane. Flora bez namysłu siadła za mężczyzną, a Mila z przodu.

W oddali rozległy się krzyki i huk wystrzału. Przerażony kierowca ruszył w pośpiechu. Wkrótce zorientowali się, że ludzie Szefa jadą za nimi.

– Nie da się niestety jechać szybciej – panikował ich wybawca uświadamiając sobie, kim są dziewczęta. – Staram się, ale się nie da!

Ramię Emili zaczęło znowu krwawić. Flora klęczała na siedzeniu i pomagała zatamować krwotok.

– Spokojnie, jesteśmy niedaleko – stwierdziła mocno zdenerwowana dziewczyna. Nagle usłyszała brzęk pękającej szyby i huk kuli przebijającej tuż koło jej głowy.

– Mają pistolety – wrzeszczała Mila. Znow rozległ się odgłos wystrzału. Flora jęknęła i opadła bezwładnie na tylne siedzenie auta. Martwa.

*

Stała przed lustrem w szlafroku szpitalnym i bacznie obserwowała swoje ciało. Gdy tu dotarła, była odwodniona, wychudzona, a jej ramię było poważnie zakażone. Na szczęście lekarzom udało się uratować rękę.

Wybuchła płaczem. Była sama – całkowicie sama pośród kilkunastu swoich „przyjaciół” narkomanów. Rodzice starali się jej pomóc, lecz nie wiedzieli, jak.

*

Wyglądała ślicznie. Miała na sobie piękną, białą, koronkową sukienkę. Jej blond włosy układały się w idealne fale i spływały delikatnie po

ramionach. Była tak umalowana, że zapewne nie poznałyby się w lustrze... gdyby tylko mogła. W rękach trzymała bukiet białych róż, bo takie lubiła. Bukiet zasłaniał tę okropną ranę na brzuchu. Florence była przecudna... w porównaniu do tego co zobaczyła w Ośrodku i w aucie.

Wszystkie ceremonie związane z uroczystością zostały zakończone. Zamknęli trumnę i zakopali ją. Wszyscy płakali. Miła też. Właśnie wtedy spełniła się przepowiednia o ich przyjaźni. Dwa w jednym – przyjaźń i śmierć.

*

– Chyba wszystkich nurtuje to pytanie: dlaczego prawo? Myśleliśmy, że po tym, co spotkało ciebie i twoją koleżankę, wybierzesz coś innego – roześmiany reporter na chwilę spoważniał.

– Chcę, żeby takie osoby jak William D. nigdy nie czekały na sprawiedliwy wyrok aż pięć lat. Mordował, porywał i żądał okupu – odpowiedziała Miła, a raczej Emilia, dwudziestoletnia już kobieta, będąca na drugim roku studiów prawniczych. – A i tak przez te pięć lat unikał dożywocia. Chcę usprawnić nasze prawo.





Niepokoje

Katarzyna Marczak

Zofia, służąca w jednym z pałacowych mieszkań, wracała ze sklepu, przekładając ciężki kosz ze sprawunkami z ręki do ręki, gdy uchwyt zaczynał ocierać wewnątrz spracowanych dłoni. Mimo woli do jej świadomości docierał obraz miasta pograżonego w mroku, który rozświetlały jedynie zdobne latarnie naftowe ustawione wzdłuż ulicy. W głowie panienki układały się nutki, jedna po drugiej, tworząc melodię trochę smutną, dopasowaną do nastroju listopadowego wieczoru, trochę radosną, na pocieszenie przy nieustannych trudach, związanych z wielogodzinną służbą. Była zmęczona, od samego rana zajmowała się porządkami. Prała, szyła, ścierała podłogi... Nie lubiła tego życia, lecz cóż mogła zrobić? Rozmyślała w ciszy, spiesząc się do mieszkania swoich panów, o odpoczynku, który czeka ją za parę godzin, gdy wszyscy już położą się spać i nie będzie potrzebna. Otoczona tą słodką wizją, nie zauważyła sporych rozmiarów kałuży znajdującej się w miejscu, gdzie ktoś wybił kiedyś kamień z chodnika. Weszła w nią wraz ze swoją pogodą ducha, mocząc nogę aż do kostki.

W Warszawie lało całą ubiegłą noc. Uderzające o kamienne posadzki grube krople deszczu i z hukiem przechodzące przez miasto gwałtowne fale wiatru nie dawały spać mieszkańcom. W ciągu dnia pogoda uspokoiła się trochę, jednak nadal na zewnątrz nie było przyjemnie. Przejmujący jesienny powiew i wcześniej ciemniejące niebo, na którym o tej porze roku nie widać było ani jednej gwiazdy, nie zachęcały do wychodzenia z domu, za to namawiały do szybkich powrotów. Mimo

całej swej ponurej istoty, aura potrafiła wzbudzić też pozytywne uczucia. Szare warszawskie kamieniczki prezentowały się w półmroku klasycznie, pięknie, po polsku. Po mokrych ulicach jeździły bryczki, miażdżąc opadłe z drzew liście, które, choć już butwiejące pod wpływem mokrego podłoża, tworzyły na nim całkiem przyjemny dla oka dywan w kolorach późnej jesieni.

O godzinie 18 w Śródmieściu nie było wielkiego ruchu. Większość warszawiaków znajdowała się już w domach, gdyż pracę oraz naukę w nielicznych polskich szkołach kończono zwykle po południu. Ulica Krakowskie Przedmieście, jedna z najznamienitszych w Warszawie, obfitowała w kamieniczki. W niejednym oknie widać było kolorowe zasłonki lub kwiaty, ubogacające obraz dzielnicy. Najwięcej działa się teraz w suterenach. Z pobliskiego szynku wychodziła właśnie grupka podchmielonych panów w średnim wieku. Jeden z nich, mężczyzna w popielatym fraku, opierając się o ramię towarzysza, tłumaczył mu coś usilnie.

– I gdzie ta nasza wolność, co, bratku? – mówił lekko chwiejnym głosem. – Konstytucja na stole, a bat pod stołem! – wykrzyknął głośno.

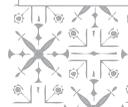
– Ty się lepiej zastanów, co mówisz, aż tak źle nie mamy – stwierdził stanowczo drugi. – Polskie szkoły, polska historia, nasze wojsko... – dodał, siląc się na jak najwięcej argumentów, choć w głowie trochę mu już szumiało, więc niewiele był w stanie wymyślić. – Ten kongres we Wiedniu pomógł nam, słuchaj, pomógł. Gdyby nie to, mogłoby być dużo gorzej! Mamy nasz własny kawałek ziemi, nasze Królestwo Polskie – tłumaczył, ale jego przyjaciel uczeplił się tylko jednego słowa:

– Wojsko? Jakie wojsko? – odparł z nadnaturalnym zdziwieniem na twarzy. – Przecie całe tabuny ruskich żołdaków stoją w NASZYM KRAJU! – mówił z rosnącą złością. – A kto jest przedstawicielem polskiej armii, kto? Rosjanin! Konsta... Konstantyn!

– Spokojnie, Antek, spokojnie – uciszał go rozmówca, mając świadomość, że coraz więcej przechodniów zaczyna się za nimi oglądać.

– Nie ufam Rosjanom, rozumiesz? Chcę żyć normalnie, bez nich! – usprawiedliwiał wybuchy złości mężczyzna we fraku.

Panowie uspokoili się już trochę, gdy nagle z szynku wyszedł jeden ze stałych bywalców, wyraźnie pijany, i trzymając się kurczowo barierki wykrzyknął z wesołkowatym uśmiechem:



– Nie taki car straszny... jak go, he, he... malują!

To beztrioskie oświadczenie spowodowało grymas złości na twarzy mężczyzny we fraku.

– Coś ty powiedział?! – wycodził przez zęby i ruszył w kierunku pijaka. Ktoś inny krzyknął z wnętrza szynku: „Staszek, piwo stygnie!” – i twórca niefortunnej parafrazy na ugiętych nogach zawrócił w stronę pomieszczenia, a już za chwilę zniknął w środku, zostawiając po sobie tylko wspomnienie pijackiego bełkotu. Bezradny Antoni, któremu nie udało się wymierzyć sprawiedliwości patriotycznej, obejrzał się na swojego przyjaciela, stojącego z tyłu z wyrazem niemego przestraszania. Zgrzytnął zębami, po czym wziął głęboki wdech, a zimne powietrze wchodzące do płuc przywróciło mu trochę trzeźwości myślenia. Podszedł do swojego towarzysza, ponownie złapał go za ramię i patrząc mu w oczy westchnął:

– Ludzie patrzą. Nie o takich Polaków nasi walczą, trzeba się schować do domów. – I poszli lekko chwiejnym krokiem, a po chwili skręcili między budynki.

W tym czasie gdzieś w pobliżu przechodziła rażno trójka młodych ludzi. Mężczyźni ubrani byli w typowo romantyczne fraki, jakie nosiło wiele osób. Dwóch z nich rozmawiało żywo, a z ich twarzy nie schodził uśmiech podekscytowania. Krok za nimi szedł trzeci, trochę młodszy kompan. Mimo zamyślenia głowę trzymał wysoko uniesioną i powtarzał tak cicho, że prawie w myślach: „Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy; Młodości! dodaj mi skrzydła! Niech nad martwym wleczę światem...” I cytował wieszczą do końca, słowo w słowo, ciesząc się ze swej młodości, pełen zapału.

Zimny wiatr wdarł się do jednej z kamienic Krakowskiego Przedmieścia. Budynek był zdobny, widać była, że to własność osoby szanowanej. Wewnątrz znajdowało się wiele pomieszczeń, każde starannie umeblowane. Na szczególną uwagę zasługiwała dużych rozmiarów izba, w której kluczowe miejsce zajmował fortepian. Tutaj grywała wieczorami pani domu. W bawialni umieszczono również wygodne fotele, mahoniowe regały oraz kanapę w stylu francuskim. Wzorzyste, drewniane posadzki i pastelowa tapeta na ścianach dopełniały klasycznego, eleganckiego stylu pomieszczenia. W jednym z kątów znajdował się kominek ogrzewający pomieszczenie.

– Zamknij okno, Janku, bo tacie na pewno zimno – szepnęła dziesięcioletnia dziewczynka, spoglądając na ojca, który drzemał właśnie na swoim fotelu przy tymże kominku.

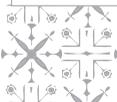
– Kiedy na dworze tak ładnie! – oburzył się chłopak, wyglądając za okno i wciągając powietrze głęboko w płuca.

– Ładnie? – zdziwiła się Marysia. Złapała brata za pantalon, zaczepiając go po dziecinnemu, gdy do pokoju weszła Anna.

– Janku, okno! Taka szaruga na dworze! Bieda temu, kto się rusza z domu – powiedziała ciepłym, ale stanowczym głosem matka i sama zamknęła okiennicę. – Tata śpi, widzę? – dodała szeptem, zerknąwszy na męża.

– Nie śpię, Anucho, jak tu w takim hałasie spać? – odezwał się sennie Józef.

– Mam nadzieję, że służąca wróci niebawem, już czas na kolację! – oznajmiła Anna, usiadłszy w fotelu. Raz na jakiś czas zerkała na dzieci, które zajmowały się każde czym innym, a tymczasem jej wzrok wędrował po schludnie urządzonej sypialni. Mieszkała tu z Józefem od dłuższego czasu. Posiadali tę kamienicę ze względu na wysoką pozycję męża w Królestwie Polskim. Aktualny ład polityczny nie pasował Annie, chyba nikt zresztą nie mógł być z niego w pełni rad. Ostatnimi czasy sytuacja zaczęła się pogarszać. Car Mikołaj przestał przestrzegać konstytucji, co odbijało się na życiu codziennym. Prasa była cenzurowana. Dodatkowo zaczęto prześladować towarzystwa narodowościowe, które dawały Annie pociechę i nadzieję na lepszy byt. Mimo wszystko nie chciała myśleć za dużo o tym, co przykre. Ceniła sobie życie rodzinne i cieszyła ją każda chwila w gronie bliskich, a zwłaszcza długie wieczory w tym domu, gdzie każdy przedmiot miał swoją historię i przypominał o różnych chwilach. Jej ciągłym zmartwieniem była porywczosć męża, który irytował się za każdym razem, gdy nie miał zajęcia. Wszystkie nabyte doświadczenia, od wojen we wczesnej młodości zarówno w armii polskiej, jak i rosyjskiej, poprzez intensywny okres napoleoński, aż po swary z wielkim księciem Konstantym, cała ta działalność patriotyczna i wojskowa odcisnęła na nim piętno, które widoczne było do teraz w jego rozmowach i przyzwyczajeniach. Anna nie raz musiała bać się o męża, jednak miłość do niego i duma z genialnego dla niej umysłu strategicznego stanowiły ciche zadość-



uczynienie wszelkich trosk. Dawniej Józefa często nie było w domu, żył sprawami politycznymi, społecznymi i militarnymi każdego dnia, więc gdy udało się zatrzymać go choć na jeden posiłek w ciągu tygodnia, radość Anny była tak wielka, że chciała, by ta chwila trwała jak najdłużej. Jednocześnie, mając świadomość powagi sytuacji, w jakiej znajdowała się Ojczyzna, starała się dorównywać mężowi wiedzą i dużo czytała, rozmawiała, słuchała. Sama służyła kiedyś jako sanitariuszka w wojsku, bieżące sprawy były więc bliskie i jej sercu.

Teraz Józef nie był już czynnym żołnierzem. Skończył służbę dwaście lat temu, ponad rok spędził na rekonwalescencji po ciężkim postrzale, jednak nie zdołał zupełnie odciąć się od swojej przeszłości. Zajął się strategią i nie przestawał śledzić ruchów kolejnego króla Polski, Mikołaja I, oraz jego brata. Poświęcił się także pasji, jaką było kolekcjonowanie map. Mimo braku obowiązków wojskowych, każdego dnia znikał na długie godziny. Zwykle bywał w teatrze, który szczególnie cenił. Obserwując sytuację polityczną kraju, coraz bardziej świadomy był tego, że już nie będzie walczył. Może z powodu wieku, może doświadczenia, stracił wiarę w to, że powstania mogą przynieść jakiś skutek. Gdzieś w jego głowie rosło przekonanie, nie marzenie, o przyszłości Polski wolnej, czuł jednak, że nie buntem powinno się tę wolność pozyskiwać. A bunt w ostatnim czasie rósł w siłę.

Anna z czułością obserwowała dzieci. Śmiejąc się i przekrzykując, układały wieżę z drewnianych klocków. Towarzyszyła im niańka, doglądając rozrywki podopiecznych. We wspomnieniach Anny żywo malował się obraz solidnej pracy jej męża nad tą zabawką. Zrobił ją sam. Pamiętała, jakby to było wczoraj, jak Józek wycina z drewna różne kształty, jak pokazuje je żonie z zadowoleniem. Długimi godzinami maluje je, ozdabia, a w końcu daje swoim dzieciom do zabawy i obejmuje Annę patrząc, jaką radość sprawia im te parędziesiąt małych przedmiotów.

– Tato, tato, popatrz, jaka wieża! – wyrwało ją z głębokiego zamyślenia zawołanie Marysi.

– To moja robota – wyprężył się dumnie Janek, chcąc uzyskać pochwałę od ojca.

– Nieprawda! Robiliśmy ją razem!

Józef oderwał wzrok od gazety i pochwalił z uśmiechem:

– Pięknie, dzieciaki! A teraz już posprzątajcie zabawki, niedługo siądziemy do stołu.

Dzieci z pomocą niańki posłusznie zabrały się do układania drewnianych klocków w kącie salonu, a Anna chwyciła pióro i kartkę papieru, pozwalając sobie na relaks. W jej głowie układały się słowa wiersza, który już od dłuższego czasu miała zamiar stworzyć.

Tymczasem do mieszkania weszła służąca Zofia, ucałowała ręce swoich panów i pospieszyła do kuchni, chcąc jak najprędzej przygotować posiłek, tak by nie narazić się na krytykę.

Janek po skończonej pracy usiadł na kolanach ojca. Józef chętnie pokazywał mu różnorodne ryciny zamieszczone w czytanej przez niego gazecie. Opowiadał też anegdotki z czasów młodości, ucząc syna życia. Opowieści o wojsku Janek szczególnie sobie upodobał. Uważał z dumą, że ojciec rozmawia z nim jak z dorosłym mężczyzną, choć tak naprawdę Józef wiele przykrych wydarzeń pomijał w opowieściach.

Kolację podano do stołu. Rodzina zasiadła, a służąca Zofia wróciła do kuchni. Anna i Józef z dziećmi jedli już zupę, gdy ze dworu zaczęły dobiegać krzyki i wołania, które z biegiem czasu robiły się coraz głośniejsze. Początkowo nie zwracali na to uwagi, w Warszawie przecież, jak to w dużych miastach, bywało głośno. Jednak po jakimś czasie Józef wstał od stołu, skłonił się delikatnie i podszedł do okna. Nie dostrzegł jednak na zewnątrz nic niepokojącego.

– Siadaj, Józek, zupa wystygnie – zwróciła uwagę żona, która chciała, żeby domownicy posilili się jak trzeba.

– Co to za krzyki? – zainteresowała się Marysia.

– Sam nie wiem. Chyba nic poważnego – uspokoił ją Józef, ponownie siadając do stołu.

Janek skorzystał z chwili nieuwagi rodziców i włożył swoją łyżkę do talerza siostry, ale nie udało mu się dopełnić zaczepki, bo zachichotał, próbując przelać jej zupę do swojego naczynia.

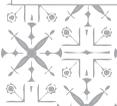
– Janek!!! – pisnęła dziewczynka z oburzeniem.

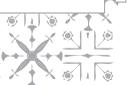
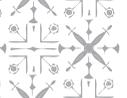
Mama odwróciła głowę od okna i odciągnęła syna na bok.

– Przestań się bawić jedzeniem! Mamy go tyle, że dla każdego wystarczy, zostaw Marysię. – upomniała go.

– Chcę więcej! – Tupnęła nogą Janek.

– Nie zachowuj się jak mały chłopczyk – mruknął zirytowany ojciec,





zerkając w stronę okna.

Chłopiec wykrzywił usta w podkowę. Nie lubił, jak tata go karcił. Spojrzał na Marysię, a widząc, że ta się uśmiecha, zdenerwował się i ją szturchnął. Dziewczynka wypuściła z ręki łyżkę i pociągnęła mamę za sukienkę, oczekując jej reakcji.

– Janek, przestaniesz wreszcie? – zwróciła się Anna w stronę chłopca.

Wrzawa robiła się coraz większa, nie tylko w domu, ale i na zewnątrz. Huk zamieniał się w nachodzące na siebie wołania. Józef, który w tym momencie skończył posiłek, rozkazał lokajowi pilnować lokum z największą uwagą. Musiał udać się do Teatru Rozmaitości, ponieważ miał tam zaplanowane spotkanie. Oznajmił to Annie, po czym opuścił pomieszczenie, przebrał się w odpowiedni strój i wyszedł z kamienicy. Ruszył, nie spiesząc się, w kierunku ulicy Marszałkowskiej. Do teatru nie było daleko, więc postanowił dotrzeć tam spacerem, na który miał dziś wyjątkową ochotę. Niewiele przeszedł, a już dostrzegł grupę ludzi wędrującą w jego kierunku. Im bliżej się znajdowali, tym łatwiej było mu ich rozpoznać. Zwykły, warszawski plebs. Tłum nie zachowywał się jednak naturalnie. Widać było w nim wielkie poruszenie. To ci ludzie robili hałas, który Józef słyszał wcześniej w domu. Mężczyzna nadal szedł przed siebie, ciekaw intencji zgromadzenia. Gdy znalazł się już wystarczająco blisko, rozpoznał wśród niektórych charakterystyczny, żółto-granatowy mundur. Musiał to być uniform Szkoły Podchorążych Piechoty. Nagle ktoś wybiegł z tłumu i zatrzymał się przed Józefem. Chłopicki znał tę twarz, twarz Piotra Wysockiego. Mężczyzna wyprężył się i zasalutował z wielką dokładnością, po czym zawołał:

– Generale Chłopicki! Właśnie generała teraz potrzebujemy!

Józef odsunął się od niego o krok i szorstko odparł:

– Co wy, u licha, wyrabiacie?

– Idziemy na Arsenał, dość tego milczenia!

– Jakiego milczenia, o czym ty mówisz? Chcesz, żeby przez waszą porywczą głupotę wybuchło powstanie?!

– Generale, właśnie tego pragniemy – przyznał Wysocki.

– Nie macie pojęcia, co robicie. A te zrywy srogo przypłacicie. Z carem trzeba pertraktować. Pertraktować!

Żołnierze spoglądali po sobie niepewnie, nie wiedząc, co robić. Tymczasem plebs krzyczał między sobą i podtrzymywał nastrój ekscytacji połączonej z wrogością do Cesarstwa.

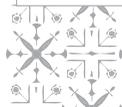
A dowódca sprzysiężenia, słysząc krytykę generała, odparł śmiało:

– Ja nie mogę inaczej. Jak to tak, Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek? Polska wolna, ale z Rosją natarczywie zaglądnącą nam przez ramię? Rosją, której oddech czuć na karku przy każdym najmniejszym ruchu! Ja tak nie chcę, nie umiem. Na Arsenał i po Konstantego!

– Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek? Nie wiesz, o czym mówisz. Niedługo zabiorą nam nawet to, co mamy teraz! Trzeba tylko kolejnych aktów braku rozsądku, takich jak wasz!

Piotr Wysocki nie mógł już czekać. Miał za plecami grupę ludzi, pragnącą iść dalej. Zawiedziony odmienną wizją generała w sprawie odzyskania niepodległości, postanowił ruszyć bez niego. Mocno liczył na to, że nadchodzące wydarzenia doprowadzą mimo wszystko do objęcia przez Chłopickiego dyktatury nad powstaniem. Oddał mu honory i ruszył naprzód, wraz z całym tłumem, który długo jeszcze oglądał się za tą znamienitą postacią. Józef z kolei nie wiedział już gdzie się udać, do teatru, czy swojej kamienicy. Był tak rozzłoszczony pochopnością działań młodych, że stracił chęć do wszystkiego. Stał jeszcze chwilę w miejscu, w którym wcześniej zatrzymał go Wysocki.

Tymczasem ktoś rzucił ogień i zapłonął suchy już, listopadowy, nagi krzak przy ulicy.





Emilia Rusel

Za Miko od zawsze postępowały tłumy. Wydawałoby się więc, że jest kimś ważnym, gdy wiatr rozdmuchiwał jej włosy do tyłu, tworząc na głowie pełen chaos, a na policzki wstępowały śmieszne rumieńce. W takich chwilach nikt nie przebierał nogami tak szybko jak Miko, ze złkniętym spojrzeniem wbitym w prześladowców.

– Jak się nazywa twój gatunek? – wołał Ariel wśród tupotu kilkunastu małych stóp i przyspieszonych oddechów, jak zwykle trzymając w lewej ręce kij wyciągnięty jak miecz. Miko natrafiła na jego szatański uśmiech wklejony w drobną twarz. Jest bardzo piękny, pomyślała ze smutkiem, spoglądając na chmurę czarnych włosów okalających jego głowę i zgrabne brwi nad dwoma zielonymi punkcikami. Jego skóra jest taka jasna.

– W ogóle się nie nazywa! – odkrzyknęła drżącym ze złości głosem, próbując wdrapać się na murek niemal tak wysoki jak ona. I chociaż udało jej się to doskonale, czyjeś zimne ręce z góry chwyciły ją za ramiona i zepchnęły z powrotem na dół. Włosy konsystencji słomy opadły jej na twarz. Widziała spod nich, jak chłopiec się zbliża, i chociaż miała zaledwie sześć lat, wydawało jej się, że jest w nim zakochana. A jeśli nie w nim, to przynajmniej w jego skórze bladej jak mleko, teraz rozświetlanej słońcem. Stał tak blisko, że widziała ruch jego źrenic.

Przypominały jej o obrazie czarnej dziury, którą znalazła niedawno w książce o astronomii, na tle równie granitowym co jego tęczówki.

Ariel spojrział ponad jej głowę na chłopca, który zepchnął ją w dół. Unosząc kciuk w górę uśmiechnął się, wystawiając mlecza.

– Dawaj to na dół, Ermi!

Miko spoglądała na swoje posiniaczone kostki, wystające spod przykrótkich spodni, i zdawało jej się, że nagle całe jej ubranie jest za ciasne i stanowczo zbyt ciemne na takie słońce. Myślała o słońcu własnie, marząc o tym aby usiąść w wielkim skórzanym fotelu przed balkonem, który miał na sobie plamy od jagód i pachniał domem, i nachylać się nad swoją książką astronomiczną, gdy tuż przed jej nosem śmignął spory kształt. Ariel ostrożnie oparł kij o mur, śledzony wzrokiem kolegów. Po chwili odwrócił się na pięcie i utkwiał wzrok w dziewczynie.

– Jaka jesteś, Mikuś? – zagadnął, ze słońcem na bladej twarzy.

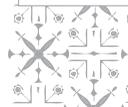
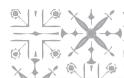
– Normalna – odburknęła krótko, nie podnosząc wzroku znad butów.

Chłopiec prychnął i pociągnął ją za ramię. Stanęli przed okazałych rozmiarów lustrem. Miko nie podnosiła oczu znad swoich butów, a gdy niemal zobaczyła swe odbicie, zaczęła patrzeć w niebo.

– Jaka jesteś, Mikuś?

Niebo miało sinobłękitny kolor, nie zakłócany żadnymi chmurami. Gdy Miko opuściła głowę, widziała to samo niebo w zgarbionej postaci, stojącej przed nią z perłowymi włosami sięgającymi ramion, o butach brudnych od piasku. Jej skóra miała kolor nieba.

– Wyjątkowa – mówiła Babka tak długo, aż Miko mając około szesnastu lat uwierzyła, że bycie wyjątkowym to coś ważnego. – Może trochę dziwaczna. – Babka była niską kobietą o skórze zwisającej z niej jak jedna z fałd ubrania, o brązowosiwych włosach spiętych do tyłu klamrą w kształcie czerwonego liścia i o uśmiechu, w którym znajdowało się coś wyniosłego. Była też pełna wydumanej elegancji i przekonania, że jej uroda nie zestarzała się razem z nią. Jestem jak wino, Miko, jak wino. Najczęściej używała słów prostych, wprost banalnych i w przeciwieństwie do Miko, uważała się za kogoś niesamowicie wartościowego. Babka lubiła też kapelusze, kapelusze szerokie i pięknie





ozdabiane, apaszki nasączone zapachem perfum marki Estée Lauder, suknie zbyt obcisłe lub zbyt jaskrawe. Czasem Miko chciała rzec jej, że to prześmieszne, ta jej tęsknota za byciem młodym - ale nigdy tego nie powiedziała, bo sama czuła żalosne tęsknoty za ciałem, którego nie pamiętała, lub kobietą, której nie pamiętała również. Poza tym Babka gotowała najlepiej na całej Ziemi i Słońcu i w ogóle wszędzie.

Powinna kochać ją mocniej, nie tak jak kocha się swoje babcie, lecz jak wszystko co ma się na tym świecie. Jednak kochała ją za mało, bo kochała ją za kilka rzeczy, podczas gdy kosmos kochała za nic, albo za wszystko. Kosmos był wszystkim. Miko od zawsze chciała być poza zasięgiem ludzi, może dlatego mając kilka lat zakochała się w myśli, że zamieszka na skrawku Księżyca. I tak już zostało.

*

Kiedy Miko poznała Freddiego, miała siedemnaście lat, 181 centymetrów wzrostu oraz kartę biblioteczną, której używała tak jak zwykle używa się kluczy do mieszkania. Poza tym posiadała też granatowy plecak oraz miłość do kosmosu tak wielką, że wszelkie przykrości związane z resztą świata przestawały mieć znaczenie. Freddie był krępej budowy, śmiesznie niski jak na swoje siedemnaście lat, z ogromnym uśmiechem i chaosem na czuprynie, a kiedy biegł z prędkością meteorytu, co robił cały czas, był zaledwie plamą z uniesioną wysoko kosmiczną peleryną. Miko wiedziała, że jest to ktoś ważny, bo ludzie krążyli wokół niego tak, jak naturalne satelity krążą wokół swojej planety. Ci, którzy byli najbliżej wydawali jej się w jakiś sposób uszkodzeni, choć ciągle niezwykli i była niemal pewna, że Freddie kocha specjalność. Tymczasem Miko, taka dziwna, z niebieską skórą i niemal białymi włosami, z palcami przyklepionymi do astronomicznych książek i jasnymi tęczęwkami prawie całkiem pożartymi przez wielkie źrenice - musiała być specjalna. I tak Miko stała się satelitą.

- Miko, czy interesują cię ciała niebieskie?

Podskoczyła, wdychając głęboko zapach biblioteki. Utkwiła wzrok w jednej z półek, zza której spozierała na nią rozradowana twarz. Słońce zaplątało się we włosy Freddiego, które miały w sobie coś z kształtu

rozłożystych gałęzi i równie brązowy kolor.

– Astronomia – powiedziała i na wszelki wypadek zmrużyła oczy, gdyby był to kolejny z żartów o jej skórze. Między książkami spostrzegła jego charakterystyczną pelerynę ze wzorem Drogi Mlecznej widzianej w podczerwieni, poza tym dżinsy i zieloną koszulę. Nigdy nie widziała go z tak bliska i teraz dotarło do niej, że jest zabawnie niezgrabny, bo ma krótkie, grube nogi i wiszące ręce. Był też znacznie od niej niższy i przemknęło jej przez myśl, że znów w czymś odstaje.

– Przecież wiem – powiedział, a ona zauważała coraz więcej szczegółów, nerwowo spoglądając to na niego, to na podłogę. Miał małe zielone oczy i opaloną twarz, bledszą niż ona kiedykolwiek będzie mieć. – Mimo to wstydzisz się chodzić na kółko astronomiczne w naszej szkole, więc od dzisiaj zabieram cię ze sobą. Chodź, pokażę ci coś.

Po czym wyszedł zza półki z wielkim kartonem w rękach i przeszedł przez drzwi. Miko chwyciła za plecak i ruszyła za chłopcem, lądując w nowej otchłani ludzi, odgłosów i zapachów. Podczas wspinaczki po schodach zastanawiała się, czy zrobiła to, bo czuła się samotnie jako jedyny niebieski człowiek w tej części świata, a może spodobał jej się głos tej dziwnej osoby, a w tym ważny fakt, że ktoś zna jej imię.

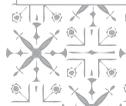
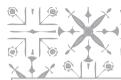
– Jak wyglądałabyś, będąc obiektem w kosmosie? – zapytał Freddie, gdy siłował się z wajchą ułatwiającą wejście na dach. Jego peleryna łaskotała Miko w szyję. To ktoś bardzo dziwny, myślała, bo nie zapytał nawet, czemu jestem niebieska. Zachowywał się tak, jakby sam był niebieski.

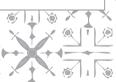
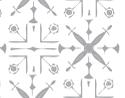
– Pewnie byłabym planetoidą – powiedziała po chwili namysłu, obserwując jego poczynania – o nieregularnym kształcie. A jeśli planetą, to na pewno niebieską.

Spojrzał na nią przez ramię i uśmiechnął się kwaśno, po czym otworzył klapę i wszedł na dach.

– To dość przykre – stwierdził. – Smutno patrzy się na kogoś, kto myśli o sobie jak o nikim.

Nic nie odpowiedziała, czując się jednak odrobinę dotknięta, więc tylko patrzyła jak chłopiec zabiera karton i wychodzi na zewnątrz. Byli bardzo wysoko. Kwietniowe słońce uprzejmie ogrzało twarz Miko, gdy





niepewnie wystawiła głowę. Freddie zaś wyjął z pudła coś przypominającego skorupę zwierzęcia, po czym wyginał ją tak długo, aż uzyskała wygląd planety rozmiarów lampy dyskotekowej. Pogrzebał chwilę w kartonie, wyciągnął pompkę ze zbiornikiem i zaczął napełniać model gazem.

– To Pluton – powiedział z uśmiechem ponownie przyszytym do skóry. Uwiązał kształt do sznurka, przez co przypominał balon, lub nadmuchaną żabę. – Świeżo pożyczony z magazynu szkolnego.

Wzruszył ramionami.

– Odkąd przestał być uważany za planetę, pożyczanie go to nic złego.

Poluzował odrobinę sznurek, przez co model wypełniony helem uniósł się mocniej ku górze.

– Chciałabyś go puścić? – zapytał uprzejmie, wyciągając do niej rękę ze sznurkiem. Miko zdumiała się i otworzyła szeroko oczy.

– Przecież to twój Pluton! Nie możesz go puścić!

Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi i rozwinął rękę. Nim balon poszybował, Miko wychyliła się i desperacko chwyciła sznurek, spoglądając na chłopca z oburzeniem i przykrością.

– Ja go wezmę – powiedziała tylko, a balon wisiał nad nią jak czarna chmura nad pechowcem.

– To właśnie jest smutne, Miko.

– Co jest w tym smutnego?

– Ty nie potrafiłabyś puścić swojej planetoidy. Trzymałabyś ją tak długo, aż uszłoby z niej życie i nigdy nie zetknęła się z niebem.

Miko zmarszczyła brwi. Jeszcze chwilę temu zdawało jej się, że patrzył na nią tak, jak gdyby była kimś ważnym, przynajmniej normalnym. Ale teraz, kiedy nie widziała jego uśmiechu, znów poczuła się na chwilę bardziej niebieska i bez wartości, dlatego odwróciła się i powoli podreptała w stronę wyjścia, starając się ukryć ramionami model. Powtarzając sobie, że nie ma w tym nic dziwnego, zeszała z dachu.

– Zawsze możesz być zapalonym astronomem – krzyknął za nią Freddie – ale nigdy nie będziesz astronautą!

Przez kolejne dwa miesiące Freddie pokazał jej wiele rzeczy, od swoich ulubionych konstelacji gwiazd, poprzez więcej szaleństwa, aż po więcej ludzi, którzy machali do niej na korytarzach. Inne satelity. Każdy z nich uwielbiał go, bo każdego z nich traktował wyjątkowo. Jednak jak każde ciało niebieskie obiegane przez swoje satelity, był daleko od wszystkich, bo będąc dla wszystkich, naprawdę nie był dla nikogo. Nikt nie jest w stanie zatrzymać ruchu w kosmosie.

Zawsze zwracał się do niej łagodnie, był pełen zdań takich jak „masz najładniejszą skórę”, lub „chciałbym być do ciebie bardziej podobny”, „naprawdę dużo wiesz o kosmosie”, a to wszystko było po to aby mogła uwierzyć, że coś znaczy. Jako satelita swojego Plutona, weszła w obieg, z większą ilością dumy i uśmiechu, czasem czując się zupełnie jak narcyz, bo ktoś ją pochwalił.

– Twoja mama przyjedzie na święta.

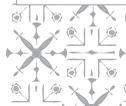
Miko zamarła w chwili zawiązywania sznurowadeł, z ustami rozwartymi w cichym mamrotaniu i włosami grubo opadającymi na policzki. Jej serce zatrzępotowało delikatnie jak kruche skrzydełka ćmy, a w głowie trwało słowo „mama”. Smakowało dziwnie, zupełnie obco, bo przez moment musiała zastanawiać się, kogo Babka ma na myśli. Samo określenie „przyjedzie” też zdawało się być śmieszne, bo Miko nigdy nie wiedziała gdzie jej mama właściwie jest, dlatego równie dobrze mogła mieszkać gdzieś na Saturnie.

Spoglądały na siebie w milczeniu, aż oczy Babki odwróciły się w stronę grającego telewizora. W głowie Miko powstał chaos, gdzie myśli krzyczały do siebie z każdej strony. Chciałyby zapytać o „dlaczego teraz?” lub chociaż „czy to normalne?”, aż w końcu „czy moja matka lubi barszcz z uszkami?”, „czy jest wyższa ode mnie?”, „czy mamy kupować jej prezent?”, „który to będzie dzień tygodnia, bo Freddie kiedyś powiedział, że w któryś wtorek pójdziemy pożyczać pomarańcze w spożywcaku na skrzyżowaniu za szkołą, a w czwartek idziemy testować teleskopy?”, „czy je mięso?”.

– A co jeśli nie spodoba jej się odcień mojej skóry? – zapytała nagle.

– Czy ona w ogóle wie?

– Przecież wie, że masz srebrzycę – powiedziała wyjątkowo spokoj-





nie, jak gdyby oznajmiała tylko: „dzisiaj przyjdzie listonosz”, albo „opróżnij śmietnik, bo dziś wywóz śmieci”. Zawsze układała zdania tak irytująco, aż Miko śmiała się rozpaczliwie, że Babka jest taka prosta, będąc przy tym jedynym jej przykładem od dziecka. – Była przy tobie, gdy byłaś mała, sama podawała ci srebro koloidalne jako dobry lek, a że dawała ci go troszeczkę za dużo, to... teraz jesteś niebieska.

– Jaka szkoda, że nie zaczęła, aby zobaczyć efekt – mruknęła pod nosem Miko, zapinając guziki płaszcza. Chciała już wyjść, bo patrzenie na Babkę powodowało w niej złość i jakby, rozczarowanie.

– Aha, no i jak będziesz wychodzić to opróżnij śmietnik, bo dziś wywóz śmieci. Aha, dzisiaj przyjdzie listonosz. A, wiesz co? Mogłabyś pozbyć się tej dziwacznej lampki.

Miko skrzywiła się osobno na każde słowo powiedziane przez Babkę. Przypominała jej odrobinę siwe dziecko.

– To nie lampa. To Freddie.

Wyszła z domu z uczuciem dziwnej pustki w sobie, jakby poprzez przejście na schodach straciła dobre kilka kilogramów. Jakiś czas zajęło jej dojście do tego, że choć czuje ten cały zawód spowodowany brakiem matki, to jest to zawód dość stary – stary jak strup, a nawet blizna, a czymś nowym dla niej jest radość, nadzieja, ciekawość, obawa i jakiś wesoły zegar, odliczający dni do wielkiego spotkania. Od tej chwili było ich 147, co powinno znaczyć, że Miko przez 147 dni będzie coraz szczęśliwsza. Tymczasem zdarzyło się coś, co sprawiło, że owe dni straciły nieco smaku i Miko nigdy nie miała się dowiedzieć, jak miłe mogło być oczekiwanie.

– Miko.

Odwrociła się. Szedł kilka metrów za nią. Nie poznała go z początku, bo nie miał na sobie swojej kosmicznej peleryny. Wyglądało to odrobinę tak, jakby zgubił rękę czy nogę. I uśmiechał się tylko połówką ust, to o sześć siódmych mniej niż zwykle. Również jego włosy, będące jednym wielkim chaosem, nagle zdawały się skłaniać bardziej ku dołowi, tak jak to robią kwiaty, gdy przychodzi im umierać.

– Jak trzyma się mój Pluton? – zapytał z tej odległości i gdy czekała aż do niej dojdzie, również się zatrzymał.

– Ciągłe... wisi – powiedziała cicho. – To znaczy, wciąż utrzymuje hel. – Myśli uleciały z jej głowy, gdy patrzyła jak martwo wygląda jej przyjaciel. Przez moment zdawało jej się, że Freddie jest bledszy, że jego skóra dziwnie błyszczący, a tęczęwki są jaśniejsze, tak samo kosmiki włosów, choć nie było światła, które mogłoby je rozjaśniać.

– A wiesz, dlaczego? Bo zrobiłem to zupełnie magicznie, na pewno o tym wiesz.

Uśmiechnęła się drugą połówką ust, z której on nie korzystał.

– Myślę, że gdy on się trzyma, ty nie umierasz. Cieszę się, że to wszystko dzięki mnie.

Uśmiechnęli się do siebie, jeśli przypominało to uśmiechy i poculi się skrępowani. Stali w tym samym trawiastym miejscu, oddzieleni paroma metrami.

Kiedyś dzieliło ich pół głowy, dziś trochę więcej. Tak rozmawiają ze sobą ludzie, którzy zasłużyli na miano znajomych z widzenia. Przestraszyła się, że zaraz zapłacze się w słowach i poczuje zupełnie tak jak tamtego dnia, gdy zaciągnął ją na dach.

– Jak tam twoja skóra? – zaczął natychmiast, chcąc przykryć niezręczną ciszę. Miko zauważyła, że dłonie, które trzymał w kieszeniach skórzanej kurtki, ułożone są w piąstki i ciągnął materiał w dół.

– Dobrze, dziękuję. Liczę, że te laserowe zabiegi coś dadzą, ale podobno niekiedy efekty przychodzą dopiero po jakimś czasie.

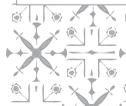
– To dobrze! – uśmiechnął się szerzej, a dziewczyna po raz pierwszy ujrzała jak jego policzki płoną. – Naprawdę. Miko. Miko – powtórzył, a jego oczy wyglądały na większe. – Jestem astronautą, Miko.

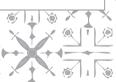
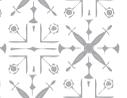
Zrobiła w jego kierunku kilka szybkich kroków, ale on odskoczył, utrzymując odległość między nimi. Pokręcił przecząco głową.

– Nie możesz mnie dotknąć – powiedział cicho i cofnął się jeszcze o krok, na co Miko spojrzała na niego z zaledwie skrawkiem przyjaźni w oczach. Nic nie pojmowała. Zrobiło jej się przykro i miała w ustach mnóstwo łzawych słów, których się wstydziła.

– Jestem twoim satelitą – powiedziała cicho. Uśmiechnęła się. Uśmiechnął się.

Od tamtego momentu, Miko znów czuła się samotna, jak jedyny





niebieski człowiek, a Freddie, co było najsmutniejszą rzeczą świata... poszybował w kosmos. Bo Freddie był astronautą.

– Słuchaj, Miko – krzyknęła Babka, gdy dziewczyna przeszła przez drzwi frontowe i w dziwnej anhedonii zaczęła ściągać z siebie ubranie. Nie podniosła głowy ani nie podeszła do Babki, więc kobieta podwyższyła głośność telewizora, wrzeszcząc jednocześnie „O, znowu nadają. Słuchaj tego! Coś kosmicznego!”

– To o chłopaku, który chciał być gwiazdą – krzyczała Babka. Miko wyszła z za rogu i opadła na jeden ze skórzanych foteli. – Aha. Wyobraź sobie, że codziennie łykał niewielkie ilości składników gwiazd i nie zaprzestał nawet gdy czuł się fatalnie.

– Co? – zapytała tylko Miko, nieprzytomnie wpatrując się w ekran.

– Mówią, że bardzo się rozchorował i trafił do szpitala. Właśnie mówili, że jego skóra zaczęła emitować blade światło. Że... wyglądał jak Ufo. O, teraz coś nowego.

– ... nie przeżył.

Miko poczuła znikome ukłucie w piersiach i odeszła od telewizora. Kiedy szła do swojego pokoju, dotarło do niej, że czegoś tu brakuje, choć z początku nie miała pojęcia czego.

– Gdzie jest Pluton? – zawołała. Babka zmarszczyła brwi i otworzyła usta, ale słowa padły dopiero po chwili.

– Ta brzydka lampa miała nazwę? Wyrzuciłam ją dzieciakom przez okno, one zawsze bawią się takimi śmieciuchami.

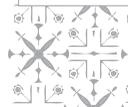
Miko zamrugała i wyrzła przez okno, ale nie widziała choćby skrawka swojego latającego przyjaciela i poczuła się tak tragicznie, jak gdyby właśnie miała już nigdy nie zobaczyć Freddiego. Może było to podświadome, a może wiedziała coś, czego nie potrafiła zrozumieć. Chłód dotknął jej otwartych ust i wślizgnął się do jej wnętrza.

– Aha, na stole jest paczka – powiedziała głośno Babka. Miko drgnęła i czym prędzej rozerwała papier, licząc, że znajdzie w środku wciśnięty w kosteczkę wielki balon. Nie był to jednak balon, lecz niewielkich rozmiarów kartonowe pudełko, a w środku para grubych rękawiczek ze wzorem kosmosu i jak gdyby było to tylko prezentem na święta, stos cukierków w pomarańczowych sreberkach.

Contagium, powiedzieli w telewizji kilkadziesiąt dni temu, to najgroźniejsza choroba zakaźna, którą kiedykolwiek została dotknięta ludzkość. Zaczęło się od siedemnastoletniego chłopca, który przedawkował toksyczne substancje, chcąc upodobnić się do gwiazd. Gdy dotarł do szpitala, zarówno jego skóra, jak i włosy czy tęczęwki były jaśniejsze. Za chwilę przed zgonem zaobserwowano jak całe jego ciało zaczęło emitować nienaturalny blask. Jego dotyk pod wpływem szkodliwych substancji okazał się być groźny dla innych ludzi. Dwoje z nich natychmiast zmarła wskutek zatrzymania akcji serca, inny zmarł siedemnaście godzin później z tej samej przyczyny. Aż pięcioro innych ludzi zostało zarażonych przez contagistę, nie mając o tym pojęcia. Z przerażającą prędkością choroba zaczęła się rozprzestrzeniać poprzez zwykły dotyk. Większość ludzi zarażonych Contagium umiera od razu, inni – nazywani Nosicielami, w obrębie od kilku godzin prawdopodobnie do kilku miesięcy. Ze względu na nowość choroby niewiele o niej wiadomo, nie znamy wszystkich skutków czy dróg zarażenia. Nosiciel początkowo nie znajduje na swoim ciele żadnych zmian, poza niewielką bladocią. Z czasem jego skóra staje się jaśniejsza, podobnie jak tęczęwki i włosy. Chwilę przed zgonem całe ciało błyszczy, jak to zostało opisane w przypadku pierwotnego contagisty. Chory ma obowiązek niezwłocznie zadzwonić po odpowiednie służby. Stamtąd zostanie przetransportowany do szpitala, gdzie specjaliści próbują opanować tę wyniszczającą chorobę. Każdy, kto tego nie uczyni, zostanie stracony. Osoba, która podejrzewa kogoś o bycie contagistą ma obowiązek zadzwonić po odpowiednie służby lub nacisnąć przycisk tj. guzik publiczny, który automatycznie sprowadzi pomoc. Jeśli informacji o contagistacie nie udostępni odpowiednim służbom, jej również grozi wyrok śmierci.

Miko musnęła palcami chropowate miejsce na ścianie, położone nad trzycentymetrowym przyciskiem w kształcie kwadratu. Uznała, że przycisk jest niezwykły, zarówno jak podpis: „Przycisk na contagistów. Nieuzasadnione użycie grozi ukaraniem.” i chociaż w ciągu ostatnich miesięcy widziała go już pół tysiąca razy w miejscach publicznych, wiecznie przyciągał jej spojrzenia i ręce.

– Jak nie ma potrzeby to nie dotykać – burknęła pulchna kobieta za





ładą, mierząc ją podejrzliwym spojrzeniem. Miko odsunęła się od przycisku i chwyciła z podłogi siatkę z nowo zakupionym ubraniem.

– Kupiła, to wychodzi, a nie stoi i patrzy na przycisk.

Wychodząc czuła na sobie nieprzyjemne spojrzenie kobiety. Jasność śniegu osłepiła ją na moment. Podreptała w stronę dworca, osłaniając oczy siatką i mruknęła coś z niezadowoleniem. Chciałaby, żeby rzeczy wyglądały na niej naturalnie, ale kolor jej skóry skutecznie to uniemożliwiał. Mijała właśnie szpital, który ze względu na częstość ostatnich zabiegów przypominał jej dom, i przez chwilę chciała tam wejść i zostać. Jednak wtedy byłaby zupełnym tchórzem, który rezygnuje z jedynej okazji, aby spełnić swoje marzenie i zobaczyć matkę, nareszcie, po 146 dniach i całych latach. Westchnęła mimowolnie.

– Miko?

Zbladła, słysząc za sobą czyjś nieśmiały głos. Odwróciła się niepewnie, chowając za sobą siatkę z ubraniem. Natychmiast dostrzegła dziewczynę opartą o kule, o bardzo wydętych ustach i rudych włosach, falami opadającymi na piersi i brzuch. Tym co rzucało się w oczy najmocniej była jej lewa noga, zakończona kikutem na wysokości kolana.

– Cześć, Furai – powiedziała łagodnie, przypominając sobie jej twarz z dawnej szkoły. To było gdzieś na wiosnę, kiedy jej były przyjaciel astronauta przedstawił ich sobie, wymawiając tylko ich imiona, choć powinien powiedzieć „Miko, mój satelita. A to Furai, również?”. Furai uśmiechnęła się do niej delikatnie. Jej twarz była zaczerwieniona od mrozu, a na włosach pojawiały się nowe płatki śniegu. Stała pod samym budynkiem szpitala, a krople wody spadały z szyldu wprost na jej puchatą kurtkę. Wydawało się, że na coś czeka.

– Skąd wracasz? – zapytała, spoglądając na siatkę, którą Miko chowała za plecami.

– Musiałam kupić coś uroczystego na święta – odpowiedziała, czując jak bardzo nie lubi swojego uśmiechu. Rudowłosa pokiwała głową, patrząc na dziewczynę z wielką ciekawością. Miko nigdy nie lubiła ciekawości, bo ludzie, którzy zawsze ją otaczali, mieli jej aż za dużo. Dlatego nigdy nie odwracała się, słysząc na dziwne hałasy lub po to tylko, aby przyjrzeć się komuś nieprzeciętnemu, bo zawsze wyraźnie

wiedziała, jak to parzy, gdy wszyscy tak na ciebie patrzą.

– Idziesz w stronę dworca? – zapytała, a Miko pokiwała głową. – Mogę iść z tobą?

Idąc, oglądały ruchliwy świat wokół siebie, nie patrząc tylko w swoje oczy.

– Byłam na badaniach – powiedziała nagle Furai. – Chciałam wiedzieć, czy nikt mnie nie zaraził. Na szczęście nie. Byłaś już na nich?

Miko pokiwała przecząco głową.

– A powinnaś. Nigdy nie wiadomo... nie miej mi tego za złe, ale twoja skóra wydaje się być jaśniejsza – zaczęła Furai, przyglądając się jej twarzy, co było bardzo nachalne i krępujące.

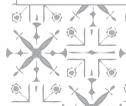
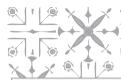
– To przez te zabiegi, żeby moja skóra wyglądała jak trzeba – powiedziała cicho Miko. – Nie wydaje mi się, abym mogła być zarażona.

– To nie argument. Obydwe wiemy, że byłaś bardzo blisko niego, więc prawdopodobieństwo, że możesz być zarażona, jest...

– Jestem tylko niebieska – powiedziała głośniej Miko. Wspomnienie Freddiego nigdy nie było najlepszym pomysłem, szczególnie teraz, w towarzystwie zimna i kulejącej Furai, która w myślach Miko była tylko zdrajcą, jedną z tych, którym wielki kawał lodu wpadł pod koszulę i zatrzymał serca. Wtedy, gdy Freddie odszedł, ludzie, którzy go znali, nawet jego satelity, oni wszyscy udawali, że nie znają jego imienia, nikt nie odkrył, że mogą być zarażeni. Później bywało inaczej, nawet ci, którzy nie zasługiwali na miano ciał niebieskich mówili: „Osobiście znałem pierwszego człowieka, od którego wzięło się Contagium. Nie, nie, nigdy go nie dotykałem”.

– Przepraszam, po prostu się o ciebie martwię – powiedziała Furai, wcale nie zatrzymując tym złości Miko. – Powiedz, czy ciągle interesujesz się astronomią?

Było to dość podłe pytanie, bo obydwie wiedziały, że od czasów Contagium świat zamknął stowarzyszenia astronomiczne, zaprzestał produkcji podręczników o kosmosie, teleskop czy lornetkę można było dostać tylko za odpowiednią, tak naprawdę nieosiągalną zgodą, zlikwidowano również dział astronomiczny w bibliotekach i zakazano wielu rzeczy, które już zupełnie wykluczyły sporą część ukochanego świata





Miko. Nie było astronomii dla zwykłych amatorów, przez co nie można już było nazwać jej pasją. A to wszystko dlatego, że pewien szalony i dziwny chłopiec zechciał być wyjątkowy, wierząc, że naprawdę może być jak ciało niebieskie.

– Dlaczego on to zrobił? Czy był szalony? Musiał być.

Miko milczała.

– Dlaczego myślał, że może być gwiazdą?

Ludzie mają w sobie trochę z gwiazd, Furai. Szkoda, że nie zdążyłaś się tego dowiedzieć. Węgiel, tlen, azot i inne, to wszystko mamy w sobie i to wszystko produkowane jest przez gwiazdy. Wszyscy pochodzimy z kosmosu – pomyślała Miko, jak przez mgłę przypominając sobie stronę w starej astronomicznej książce, której już nie zobaczy.

– Wszyscy pochodzimy z kosmosu. Freddie zawsze chciał być bardziej niż wszyscy.

Zastanawiające jest tylko, jak mu się to udało.

Kilka minut później zatrzymały się, stojąc pod wielką brązową kopułą przypominającą skorupę żółwia. Śnieg przestał padać, a dzień powoli stawał się nocą.

– To już tu – powiedziała Furai i uśmiechnęła się na zakończenie.

– Miło było cię zobaczyć. Wesołych świąt.

– Wesołych świąt.

Furai ciągle na nią patrzyła. Miko zdawało się, że dziewczyna nie mruga. Było to nieprzyjemnie oblepiające, jak naga skóra w kurtce przeciwdeszczowej upalnego dnia. Miko wyjęła ręce z kieszeni i nerwowo podrapała się za prawym uchem.

– O, mam opaskę z takim samym wzorem – powiedziała nagle Furai, patrząc na kosmiczne rękawiczki Miko. – Dostałam kiedyś od... - zarumieniła się.

Chciałaby ją uderzyć, albo chociaż krzyknąć jej coś w twarz, bo w jednej chwili poczuła, że jako satelita Freddiego, nie różniła się niczym od pozostałych. Oni wszyscy mieli kosmiczne rękawiczki lub opaski, może tak samo skarpety lub czapki i zupełnie to samo co ona - tylko wspomnienie o nim jako o kimś, kto traktował wszystkich zawsze wyjątkowo, albo bardziej jak ulubione rzeczy niż ludzi.

Kiedy Miko wróciła do domu, Babka ciągle tkwiła w tej samej pozycji przed telewizorem. Miko pomyślała, że tak na zawsze ją zapamięta. Gdy weszła, Babka odwróciła się do niej z ciekawym uśmiechem na bladej twarzy i kazała podać jej siatkę.

– Cieszę się, że to już jutro – powiedziała Miko, zatapiając się jak zwykle w fotelu obok. Babka wyjęła czerwoną sukienkę i pomacała materiał, mrucząc pod nosem z zadowoleniem. Do dziewczyny nagle dotarło, że Babka chce ją sobie przywłaszczyć.

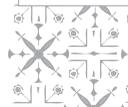
– Nie – odparła stanowczo jak do dziecka.

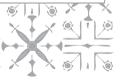
– Szkoda. Ostatnio w ogóle nic nie dostaję. Aż się żyć odechciewa.

Siedziały w wielkich fotelach wpatrzone w telewizor, aż za oknem nastąpiła zupełna ciemność. Zasnęły obie w tej pozycji, przypadkowo dotykając się rękoma. Miko śniła się same absurdalne rzeczy, to znaczy, śniła jej się, że próbuje sięgnąć do przycisku publicznego i gdy już go dotyka, okazuje się, że to włącznik światła. Światło powoduje, że Freddie zostaje kopnięty prądem, ale nie przypomina to Freddiego, tylko gwiazdę taką jak na czubku choinki, z pięcioma bokami, i poznaje go tylko po kosmicznej pelerynie, przywiązanej do jednego z nich. A później pyta go, ile on ma lat, a on mówi, że kilka miliardów, ale dopiero się rozgrzewa. Chciała zapytać, czy jest normalny, ale okazało się, że nagle sama jest tą gwiazdą, a ktoś w tle tłucze dzbanki i woła: „Miko, tu mamusia”, a ona urywa się z choinki i spada w dół, dół zielonego drzewa, aż na włochaty dywan, aby upaść i... Kiedy otworzyła oczy, okazało się, że telewizor ciągle gra, nadając coś o wyjątkowej promocji foremek do pierników. Sięgnęła lewą dłonią po pilota leżącego na kolanach babci i wyłączyła telewizor.

Bum. Jej życie eksplodowało.

Wpatrywała się w milczący ekran telewizora, spoglądając na siebie w ciemniejszym odcieniu. Zamrugała. Miała swoje albinoskie włosy, fakt, pełne kołtunów, sięgające za piersi, z króciutką grzywką obciętą wysoko nad brwiami. Miała też to swoje chude, wielkie ciało i ogromne oczy. Wydawałoby się, że wszystko jest tak, jak było jeszcze wczoraj, gdyby nie to, że po raz pierwszy wyglądała jak ktoś normalny, bo jej skóra wygląda na ludzką.





– Babciu! – zawołała, zauważając, że ich ciała ciągle się stykają. Podeszła bliżej do ekranu, widząc, że nie może się mylić. Może, może jej skóra była jeszcze odrobinę niebieska, ale znacznie bardziej blada.

– Babciu!

Nie odezwała się.

Miko odwróciła się do niej, chcąc z radością pochwycić ją za rękę i unieść do góry, ale dziwne uczucie zdjęło z jej ust uśmiech. Z jakiegoś powodu wielkie radości Miko zawsze trwały krótko.

W małej książce o kometach, którą Miko kiedyś znalazła w swojej ulubionej bibliotece, dokładnie na stronie trzydziestej drugiej znajdowało się takie zdanie: – „Kometą, która znajdzie się za blisko gwiazdy lub planety gazowej, może zostać rozerwana na wiele mniejszych ciał, tworzących formację obiektów mknących z niesamowitą prędkością”.

Wszystko, o czym myślała w tej chwili, sprowadzało się do tej właśnie komety, rozerwanej na części.

*

Wyobrażała sobie, że kiedy przycisnie guzik publiczny, nagle sufit otworzy się jak drzwi windy, a na podłogę z okrutnym hałasem spadną zamaskowani ludzie, którzy otoczą ją lub od razu zabiją – nie, nie będą strzelać, bo szpital jest zbyt czystym na to miejscem – zabiją, bo choć nigdzie się o tym nie mówiło, wszyscy wiedzieli, co działo się z ludźmi, którym nakazywano szpital.

Tymczasem była w szpitalu, we wielkim holu pełnym ludzi i świętecznych światełek, pełnym guzików publicznych i śmierci, zapachu leków i tykania zegarów, urzędzeń, znowu śmierci, nie mogła przestać powtarzać – śmierci contagistów. Krzesło, na którym siedziała, było twarde i gorące, a palce wbijane pod siedzenie bolały. Patrzyła tylko na przycisk po swojej prawej stronie, tak blisko, że wystarczyłoby przypadkowo dźgnąć go łokciem. Chociaż cały ten budynek nagle wydawał jej się jednym wielkim niesprawiedliwym sądem, czuła się tu lepiej niż we własnym domu. Dom, to znaczy, jedna martwa osoba na fotelu i włączony telewizor, otwarte drzwi wejściowe, mama umówiona na dziesiątą rano. Mama Miko. Czerwona sukienka Miko. Barszcz

z uszkami. Ciepło. Dzisiaj.

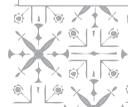
– Czekasz na coś? – zapytała w końcu kobieta w białym roboczym ubraniu. Uśmiechnęła się do niej przyjaźnie, mimo badawczego spojrzenia ciemnych oczu. Miała ostre rysy twarzy i niewielkie dłonie. – Co tu robisz w święta? – zaczęła znowu, nie dostając odpowiedzi. – Czy nikt się o ciebie nie martwi?

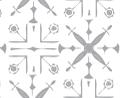
Boże, jak to smutno brzmi. Martwienie. Umieranie. Człowiek w fotelu dotknięty dłonią, przenoszącą chorobę. Żal w sercu, wyrzut wielkości kosmosu, nie da się o tym myśleć, to gniecie. Jakby nie istniało nic poza tym uczuciem. Mama. Czerwona sukienka.

– Nikt się nie martwi? – powtórzyła ponownie, a Miko pomyślała: „ona wie, wie, że ktoś się martwi. Nigdy nie chciałam, aby ktoś się martwił”, ogarnęła ją rozpacz i zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, światło padało inaczej, ludzie zmienili się w innych, słyszała łamanie kostek czekolady i jej zapach. Jakaś kobieta. Jakiś mężczyzna. Zamrugała. Było jaśniej. Ludzi było mniej. Przy automacie z kawą stał człowiek z włosami przypominającymi perukę, tak gęstymi i tak niekształtnymi, o hebanowej barwie. Miał na sobie biały roboczy fartuch, który kołysał się, gdy nerwowo bujał się na stopach. Syknął, gdy papierowy kubek poparzył jego dłonie. Niemądry. Nagle zrobił coś dziwnego. Pozostawił kubek i przycisnął dwa niepoparzone palce do ust, jakby bał się, że otworzą się bez jego zgody. Stał tak ćwierć minuty i Miko nie mogła powiedzieć, co on właściwie robi. Wtedy sięgnął do kieszeni, wyciągając kawałek materiałowej chusteczki i odrobinę się z tym kryjąc, przejechał nią po powiekach. Miko poczuła się tak, jakby dobre wczoraj zostało nakryte złym dzisiaj. Mężczyzna schował do kieszeni chustę. Chustę ze wzorem kosmosu.

Idąc wśród ludzi i starannie ich omijając czuła się jak w grze, w której dotknięcie powoduje czyjaś śmierć.

– Podoba mi się pana chustka – powiedziała z dłońmi schowanymi pod pachami. Drgnął i spojrzał w jej bladoniebieską twarz. Wyciągnęła ręce, pokazując mu własny wzór na rękawiczkach, które kiedyś znalazła w pudełku z cukierkami od Freddiego. Mężczyzna wciągnął mocniej powietrze. Chciał złapać ją za ręce, ale odsunęła się wystra-





szona, nie pozwalając się dotknąć.

– Jesteś Miko? – jego oczy krzyczały. – Miko od Freddiego?

Sądząc po szalonym pulsie, ciało Miko musiało posiadać w tej chwili z tuzin małych serc.

– Miko od Freddiego.

Wówczas do niej dotarło: czy to Freddie ją zaraził? Czy Furai miała rację, mówiąc, że tak mogło być? Ale wiedziała, że tak naprawdę mógł być to każdy, czyjaś dłoń w tramwaju albo łokieć w szkole. Mężczyzna nagle spojrział na nią przerażony.

– Co tu robisz?

– Chcę nacisnąć guzik publiczny.

– Widzisz gdzieś contagistę?

Przycisnęła lewą dłoń do swojej piersi i poczuła, że już nie chce oddychać. Fotel, Babka, czerwona sukienka. Mama. Twarz Mamy, gdy przychodzi z uśmiechem na ustach. Czy ona w ogóle zamierzała przyjść?

– Nie możesz tego zrobić.

– Czego?

– Nacisnąć przycisku contagisty.

– Dlaczego?

Patrzył na nią w szoku – czy nie pojmowała reguł tego miejsca?

Nagle odeszła, jak smuga światła rzucając się w innym kierunku, biegnąc po schodach i biegła, biegła, biegła, lawirując przy ścianach tam, gdzie tylko mogłaby zetknąć się z ludźmi. Myślała sobie – : czy Freddie umarł naprawdę, gdy światło wydostawało się z jego ciała, czy ludzie tacy jak ten, ten i ten, dobili go jak zwierzę? Czy z nią będzie tak samo? Przyciski były wszędzie, gdyby była zdecydowana, mogłaby nacisnąć je już wiele razy.

– Miko, Miko – mówił łagodnie mężczyzna, przeskakując do niej po kilka stopni na raz. – Chodź, proszę, chcę ci coś pokazać. Pójdź ze mną, mamy w domu teleskop i kilka ostatnich książek, i jeszcze coś... niesamowitego. Chodź, proszę – mówił do niej jak do samobójcy na krawędzi dachu i wtedy, z palcem mogącym w każdej chwili nacisnąć przycisk, z pewnością nim była.

– Teleskop? – powtórzyła po nim łagodnie, a w jej oczach pojawiło

się trochę ciepła. Odkąd strażę skonfiskowały jej ukochaną rzecz, nie śniła nawet, że kiedykolwiek jeszcze będzie miała okazję go dotknąć.

– Tak, teleskop. Mnóstwo książek. Wszystkiego!

Zatrzymała się niepewnie, przygryzając nerwowo wargę.

– To nie tak, że chcę umrzeć – powiedziała Miko cicho, widząc strach w jego oczach – tylko czuję, że powinnam.

Fotel i telewizor.

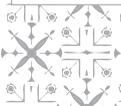
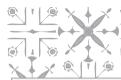
– No chodź, wychodzimy stąd – mówił, powoli schodząc ze schodów i nie spuszczać z niej wzroku. – Mam tu niedaleko samochód, który do złudzenia przypomina kolor pewnej planety... ciekawi mnie, czy odgadniesz, co to za planeta.

Spojrzała na niego z małym uśmiechem, a gdy i on się uśmiechnął, rozumiała, że gdyby teraz przycisnęła guzik publiczny, zostałaby tylko miernym szkielecikiem bardzo smutnego człowieczka, którego ograniczenia były większe niż on sam.

*

Mężczyzna zajechał na podwórko, strzepnął śmieszny grzywkę sprzed oczu, po czym z głową przepełnioną myślami wysiadł. Powitało go powietrze przesycone nocą, chłodem i zapachem świątecznego jedzenia, pochodzącego z zaparowanego okna kuchni. Oparł się o samochód i wyciągnął papierosa, przyglądając się budowli. Był to całkiem zgrabny dom, bardzo zadbany, niezbyt szeroki, choć wysoki na cztery piętra. Składał się z murowanych ścian i śniegu, rdzawo brązowego dachu i śniegu, dużych ośnieżonych okien o białych kwadratowych ramach. Poza nieużywaną szopą stojącą kilka metrów dalej, i wielką szklarnią schowaną w tyle, nie posiadał żadnych sąsiadów. Stał sobie w spokoju i milcząc, oddychał. Mężczyzna wypuścił potężny dym z ust, a wyglądało to zupełnie jak obłok na tle granatowego nieba. W końcu zgasił papierosa, wydmuchał hałaśliwie nos i otworzył pokrywę bagażnika.

– Ciągłe nie rozumiem, dlaczego uparłaś się jechać w bagażniku – powiedział łagodnie, przyglądając się dziewczynie o białych włosach w nieporządku zarzuconych na twarz i ręce, zwinięte pod głową. Odpowiedziała mu spokojnym spojrzeniem. – Pójdę ich uprzedzić i za





chwilę wróć.

– Nie mogę – powiedziała szybko Miko, a on zmarszczył się. – Nie mogę pójść do ludzi z choćby skrawkiem nagiej skóry – dodała.

– Coś wymyślimy.

Odszedł. Miko patrzyła, jak śnieg opada na ziemię, i pomyślała o poprzednich świętach. Babka. A później pomyślała –: czerwona sukienka. Matka. I – : Fotel, telewizor. A za chwilę : Jaśniejsza skóra. Furai. Freddie. Rozbicie komety. Guzik publiczny. Mężczyzna z włosami jak peruka. Egzekucja. Teleskop. Duszenie się. Nagość. Zaufanie. Bez znaczenia.

– No, Miko. Zapewne dostawałaś lepsze prezenty na święta.

Wyrzuciła nogi na zewnątrz i wstała, podpierając się o wnętrze samochodu. Śnieg sypał jej w oczy, gdy próbowała namierzyć głos. Aż w końcu dostrzegła jedną z najpiękniejszych rzeczy na świecie i choć zastanawiała się w bagażniku czy jeszcze w ogóle oddycha, teraz chwyciła powietrze tak głęboko, że spokojnie wystarczyłoby jej go na najbliższe kilka godzin.

Mężczyzna trzymał w ramionach coś, co normalnej osobie przypominałoby szlafrok i okrągłe akwarium, albo bardzo zabrudzony ręcznik owinięty wokół klosza od lampy. Jednak Miko, zakochana we wszystkim co astronomiczne, natychmiast dostrzegła, że ktoś zakochany jak ona próbował stworzyć własny skafander kosmiczny, choć bez całych tych akcesoriów. Był to najwspanialszy prezent na święta.

– Powinnaś zostać astronautką – powiedział mężczyzna, gdy Miko założyła na siebie strój. Odebrał od niej część pozostałej garderoby. – Pasuje ci.

Uśmiechnął się do siebie. Ucieszył się, gdy ze smutnego, przerażonego dziecka stała się na moment kimś z pasją.

Astronautką. Kiedyś Freddie powiedział, że nigdy nie zostanie astronautką.

– Czujesz się lepiej? – zapytał miło. Spoglądał na nią, powstrzymując śmiech, gdy patrzyła na niego zza plastikowej półkuli. Wydawało mu się, że czuje się bezpiecznie. Bezpieczniej niż kiedykolwiek w ja-

kimkolwiek ubraniu.

Kiwnęła głową. Ciągle czuła się jak pasożyt, ale może uspioły.

– To idziemy.

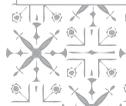
W tej chwili na świecie Miko nie było już nic poza kosmosem i jeśli można za coś kochać kosmos, to przynamniej za to, że on jest zawsze i wszędzie. Dlatego gdy szła za mężczyzną o śmiesznych włosach, mimo emocjonalnej gorączki, czuła, że cokolwiek się zdarzy, nie będzie miało znaczenia. Nie spodziewała się jednak uczucia, które dotknęło ją głęboko, mimo tak grubej warstwy ochronnej jaką był skafander.

– To jest Miko od Freddiego.

Boże, przez chwilę było tak ciepło. Wypuściła z siebie powietrze z niemal namacalnym bólem, bo to miejsce było tak kochane i idealne, że nagle znów zaczęła się bać, tym razem tego, że mogłaby stąd wyjść i nigdy nie wrócić. Zdążyła zauważyć, że niewielki przedsiónek posiada na dole puchaty granatowy dywan, a na jego tle swoje nowe gumowe stopy. Ściany były drewniane, niezadrapane, na niektórych z nich wisiały kolorowe zdjęcia kosmosu, na których widok Miko prawie umarła. Przedsiónek kończył się rozwidleniem, lewej strony nie widziała, po jego prawej spostrzegła przejście prowadzące do kuchni. Światło było tam bardzo piękne, po prostu kochane, nie nachalne. Zauważyła, że skrawki podłogi mają wzór żółtobłękitnej kratki, a na bladej lodówce doczepione są magnesy z planetami. Więcej nie widziała, bo z emocji zachuchała sobie szybę.

– Zjesz z nami, Miko od Freddiego? – zapytał kobiecy głos, stłumiony przez bańkę, w której była zamknięta. Świst palca przemknął między jej oczami i nacisnął guzik, przymocowany w okolicach plastikowej głowy. Po chwili szyba zaczęła się unosić z cichym brzęczeniem, powoli pokazując szyję, usta, nos i oczy kobiety, która patrzyła na nią tak samo.

Miko miała takie głupie myśli. Zastanawiała się, – : czy tak wyglądają matki?, wpatrując się w jej małych oczy koloru kasztanów. Miała krótkie rzęsy i rumiane policzki, rozpuszczone brązowe włosy z małą kłoką zbierającą grzywkę. Mały nos i małe usta. Wszystko na jej twarzy zdawało się być raczej małe. Sama również nie była wysoka, Miko zdawało się, że taka odległość dzieliła ją od Freddiego. I uśmie-





chała się, delikatnie, jak gdyby nie chciała jej przestraszyć.

– Chodź, Miko – powiedziała, jak gdyby miejsce dla niej było zarezerwowane już od zawsze, i bez dotykania usadziła ją na krześle, jednym z pięciu przy sporym, bogato wyposażonym, prostokątnym stole. Niepewnie usiadła i... zamrugła, a jej krew znów zaczęła szybciej pulsować.

Naprzeciw niej stał Freddie. Nie dosłownie, niestety, i tylko od głowy do pasa. Zdjęcie, na którym się znajdował, było jego naturalnej wielkości, wisiało na ścianie tuż przed jednym z krzeseł. To krzesło jednak było wyjątkowe, bo na jego oparciu widniała mała tabliczka z podpisem: „To krzesło zawsze należało do Freddiego. Nie siadać”. Znów spojrzała na zdjęcie. Nie wiedziała, co mogłaby mu teraz powiedzieć, ale jego obecność krępowała ją. Chciała mu wyjaśnić, skąd się tu wzięła, ale nie potrafiła i przypomniało jej się, że jej skóra jest mniej niebieska, więc to chyba nie najlepiej dla niego, bo on tak bardzo lubił jej skórę. Zapatrzyła się na jedzenie, czując jak ich zapachy przeplatają się, i uświadomiła sobie, że jest głodna. Było to tak banalne uczucie, że uśmiechnęła się gorzko. Cukierki. Zapakowane w sreberka. Jak w pudełku z rękawiczkami. Wpatrywała się w nie długo, czując ich smak w ustach. Gdzieś blisko niej przebiegła kolejna smuga, burząc na chwilę światło. Gdy podniosła głowę, znów przeżyła szok tak wielki, że zapomniała o głodzie.

Naprzeciw niej siedział Freddie. Znów nie dosłownie, ale bardziej niż już kiedykolwiek mogła go zobaczyć. Twarz umorusaną miał jakimś brudem, zarówno pod prawą powieką, jak i w dolnej części policzka. Patrzył na nią jak zwykle oczami pełnymi brązu, lecz niezupełnie jak zwykle. Jego twarz była odrobinę bardziej podłużna, jak gdyby urosła, a na lewym policzku znajdował się mały pieprzyk, którego sobie nie przypominała. Jego włosy też nie były wcale chaotyczne, tylko ułożone zwyczajnie, z grzywką ułożoną w jedną ze stron aż do najcieńszych kosmyków, zakończoną ostro jak kolec. Miko miała ochotę rzec: „Freddie, zrobiła ci się kometa na głowie”. Jednak była pewna, że ten Freddie wcale by się nie śmiał, i nie była pewna, czy potrafi.

Mierzyli się spojrzeniami, ona tylko z zaskoczeniem, on z pewną pogardą. Spoglądała to na niego, to na zdjęcie w tyle. W końcu zatrzy-

mała oczy na jego nadgarstku, przewiązanym kosmiczną opaską. Zauważyła, że on też patrzy na jej gumowe dłonie, na które idiotycznie nałożyła swoje kosmiczne rękawiczki. Wiedziała, co czuje. To samo co ona, gdy zobaczyła to u Furai. Niby – Freddie także był satelitą. Kim są satelity bez swojej planety? Nikim zupełnie.

Ramię z ostatnim talerzem zasłoniło jej widok na dziwnego chłopca.

Jedli. Miko czuła, że nie oczekują od niej żadnych słów, i cieszyła się, że może słuchać ich rozmów, naturalnie neutralnych. Nikt nie uważał jej za nadzwyczajnego gościa, więc na chwilę nawiedziła ją taka głupia myśl, że może mieszka tu od zawsze, to jest jej rodzina, a wszystko, co złe, nigdy jej nie dotknęło. Tylko chłopiec, tak podobny do Freddiego, nieustannym spojrzeniem przypominał jej, że nigdy tu nie mieszkała i wolałby, aby to się nie zmieniało.

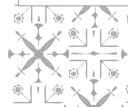
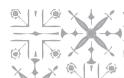
– Miko, chciałabyś zobaczyć teleskop? – zapytał nagle mężczyzna, z łagodnym uśmiechem na twarzy. Reszta również na nią spojrzała. Pokiwała głową, patrząc w pusty już talerz.

Podziękowała za posiłek i ruszyła za mężczyzną, który zaprowadził ją aż na najwyższe piętro, aby w końcu zatrzymać się przed drzwiami barwy pomarańczy. Jakby po chwili wahania otworzył drzwi i nie przekraczając ich progu, zaprosił ją gestem rąk. Nie zapalił światła.

– Wszystko znajdziesz w środku – powiedział, z jakiegoś powodu nie siłąc się na uśmiech. – Dobranoc.

Kiedy zamknął drzwi, Miko pogrążyła się w ciemności, rozświetlanej jedynie światłem księżyca, wpadającym przez wielkie okna o kształcie półkola, zajmujące połowę pokoju. Gdzieś w rogu dostrzegła kanty teleskopu i podeszła do niego, chcąc go jedynie dotknąć, nic więcej. Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do ciemności, zwróciła uwagę na otaczające ją wysokie półki z jasnego drewna. Każda z nich mieściła na sobie mnóstwo książek i kartonów oraz rzeczy o różnych kształtach. Ściany miały wzór kosmosu, gdzieś tam zagracone dziwnymi rzeczami. Zwisająca nad nią lampa przypominała księżyc, a na łóżku po prawej stronie drzwi leżał koc w kolorze nieba. Po lewej stronie znajdowały się uchylone drzwi z niewielką łazienką. Cały ten pokój przypominał mieszkanie kogoś obsesyjnie zapatrzonego w górę. Freddiego.

Usiadła na łóżku, czując pod rękawicami jego miękkość. W głowie





52

O astro-
nautach

ciągle miała Babkę, ale na okrągło odpychała od siebie wszystkie związane z nią myśli, ponieważ sprawiały jej fizyczny ból. Fotel, telewizor. Jeden dzień. Wszystko to jeden dzień. Spojrzała na najbliższą szafkę, oglądając w ciemności zarysy przedmiotów. Wydawało jej się, że jeden jest dziwniejszy od drugiego, a przy tym choć niezwykle, uszkodzony. Zaczęła zastanawiać się czy tym właśnie była dla Freddiego. Wyjątkową, uszkodzoną osobą. Przypominała sobie jego słowa, jedno po drugim. Czasem zwracał się do niej tak, jakby czegoś jej brakowało. Wolności.

Kosmos był wolnością. Zawsze. Świat był taki nieuporządkowany, że Miko nigdy nie była w stanie go rozumieć, patrzeć jak trzeba, kochać. Kosmos zawsze był czymś ponad wszystkim, zawsze był w nim jakiś porządek, do tego niezwykłość, piękno i ta dobra, osobista samotność, bardziej przypominająca miejsce specjalnie dla niej. Marzenia, nadzieje, dążenia. I wolność. Z Miko było coś dziwnego. Nie potrafiła żyć w tym wielkim miejscu i nigdy nie będzie potrafiła, bo Miko żyła po to tylko, by wznieść się do góry. Być astronautą. Jak Freddie.

*

Hm. Nie była to zwyczajna szczoteczka, pomyślała Miko, dotykając palcami gumki w kształcie planety. Obróciła ją w każdą stronę w świetle porannego słońca padającego na jej dłonie i białe kafelki skromnej łazienki. Od wczoraj znalazła w pokoju mnóstwo zwykłych rzeczy przerobionych na dziwne i kosmiczne; niektóre zupełnie niepraktyczne jak poduszka – rakieta z kolcem kłującym w plecy, lub fantazyjne, jak lampa – księżyc, świecąca bladym światłem, która w opcjach ma zmiany ukształtowania według zachodzących faz księżyca.

Założyła na siebie kilka przypadkowych rzeczy, uznając, że i tak nie ma to znaczenia, skoro skryje się w skafandrze. Patrzyła chwilę na swoją skórę, mniej niebieską niż tydzień temu i z dziwną sympatią mimo całego złego świata zesłała na dół. Może to te dziwne kosmiczne rzeczy tak na nią działały, bardziej niż rzeczywistość. Kosmos zawsze działał na nią dziwnie.

– Co zjesz, Miko? – zapytała wesoło kobieta, wyskakując z kuchni jak pajacyk. Miko przycisnęła guzik na hełmie, czekając, aż jej głos

będzie słyszalny, ale nie miało to znaczenia, bo kobieta nie oczekiwała odpowiedzi. Wraz z hałasem garnków, doszedł do niej zapach płynu do naczyń i szamponu. Spojrzała na włosy kobiety. Były wilgotne. – O czym myślisz?

– Dlaczego dziś Freddie ma tylko oczy? – zapytała patrząc na zdjęcie powieszona za krzesłem. Zamrugowała. Z jakiegoś powodu dzisiaj widoczne były tylko jego oczy w przybliżeniu. A w oczach dwa księżyce.

Kobieta przez chwilę nie odpowiadała, nie poruszając się. Kiedy Miko myślała, że coś jest nie tak, odwróciła się z łagodnym uśmiechem.

– Freddie tworzył mnóstwo rzeczy – powiedziała, a czas przeszły tego zdania brzmiał jak błąd. – Jak to krzesło. Albo zdjęcie. Skafander. Wszystkie są... kosmiczne. Cały dom... przesiąknięty jest nimi.

Odwróciła się z powrotem do garnków. Tymczasem Miko czuła, że czuje się tu dobrze, choć nie powinna, i zastanawiała się kto pierwszy zapyta o jej powrót do starego domu. Nie chciała o tym myśleć, ale wyobraziła sobie, jak mężczyzna odwozi ją do domu, a później już nigdy go nie widuje. Ona idzie po schodach, czując smród gnijącego ciała. Nawet jeśli ciała już nie ma i nikt jej nie będzie winić, pozostaje jej samotne szlajanie się po ulicach w skafandrze. Spojrzenia ludzi. Kiedyś jej dotkną. Umrą. Ktoś kiedyś przycisnie guzik publiczny albo zadzwoni po służby. Cokolwiek miałyby to być, kończyłoby się czyjąś śmiercią i jej samotnością.

– Mogłabyś pójść po Hugo do szklarni? – zapytała kobieta przez ramię. Miko nie miała pojęcia, kim jest Hugo, ale przytaknęła i wyszła z domu.

Śniegu było dziś jeszcze więcej niż wczoraj. Idąc ścieżką prowadzącą za dom do szklarni zastanawiała się, jak ma się zachowywać.

– Ha – halo – zaczęła, stojąc przed obszernym pomieszczeniem. Po chwili bez odpowiedzi zajrzała do środka. Miko zawsze zdawało się, że szklarnie mają związek z roślinami, ale w tej, mimo ogromnej powierzchni, nie było ani jednej.

– Możesz iść? – zapytał gburowaty głos.

Siedział gdzieś na środku, na chłodnej posadzce, i dłuhał w czymś, chłopiec o twarzy niby – Freddiego. Podłoga była niemal łyśa, gdzieś-niegdzie tylko brudna lub ozdobiona rozsyanymi narzędziami. Odro-



binę dalej olbrzymi, szary płócienny materiał przykrywał jakąś wielką rzecz. Światło padało na plecy chłopca, ubranego w gruby brązowy sweter podwinięty do łokci i szare spodnie. Jego twarz znów była cała w licznych smugach, przypominających ślady od ołówków.

Miko rozchyliła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jej policzki zaczęły płonąć. W końcu zaczęła wykonywać rękoma jakieś niezrozumiałe gesty, kierowane w stronę domu.

– Śniadanie – mruknęła pod nosem i zamknęła hełm. Wyszła.

Pojawił się trzy minuty później, gdy w kuchni rozbrzmiewała muzyka Schuberta i tłuszczu syczącego na patelni, na stole pojawił się nowy zgniłozielony obrus i dwa duże talerze, a pachniało naleśnikami i wszystkim, co słodkie.

– Proszę – powiedziała kobieta, nakładając na talerz Hugo spory omlet z dżemem, gdy już zasiadł do stołu. – A dla ciebie, jak zwykle, twój ulubiony! – zawołała, wyciągając energicznie z lodówki prawie połowę jej zawartości. Miko przycisnęła usta, zastanawiając się, o co chodzi. Hugo jakby zbladł, bawiąc się widelcem.

– Tak jak lubisz, gruby omlet z bitą śmietaną, kakao i podwójną porcją orzechów! – zaświergotała, kładąc przed Miko coś ogromnego. Zdjęła z siebie fartuch i usiadła na najbliższym krześle, rozdając im uśmiechy. – Smacznego.

Miko przełknęła ślinę, czując, że coś jej nie pasuje. Wpatrywała się w talerz z niepokojem, nie mogąc zmusić się do chwycenia za sztucce. Od intensywnego zapachu jedzenia zrobiło jej się niedobrze.

– No dalej – zachęcała kobieta.

– Nie musisz tego jeść – powiedział nagle Hugo, a jego głos brzmiał łagodniej niż zwykle. Czysto i delikatnie. Spojrzenie kobiety ciągle ponaglało Miko do chwycenia za widelec. – To był ulubiony omlet Freddiego – powiedział w końcu Hugo, wyginając własne sztucce.

Zdawało się, że jeszcze chwilę wcześniej setki głosików rozmawiało ze sobą w kuchni, tworząc wesoły gwar. Lodówka, mikrofalówka, szafka, wszystko to wydawało z siebie odgłosy instrumentów, życia. Teraz zrobiło się cicho tak, że każda łza spływająca po policzku tworzyłaby hałas pędzącego auta.

– Mamo – zaczął cicho chłopiec, przywołując jej spojrzenie. – Fred-

die już z nami nie je.

Tymczasem Miko wpatrywała się w omlet, czując, że w każdej chwili może zostać wyrzucona, bo nie jest Freddiem. Wyobrażała sobie, że gdy kobieta to sobie uświadomi, spojrzy na nią z zimnem w oczach, pytając, co robi w jej domu. A Miko nie będzie wiedziała, co odpowiedzieć, i będzie jej tylko wstyd, że ukradła czyjeś miejsce. Z obawy o to zaczęła jeść swoją porcję, nie myśląc o mdłościach i palącym ją coraz bardziej gardle. Była jak naładowany adrenaliną człowiek, biegnący w zastraszającym tempie. Zaczerwieniła się, choć niewiele miało to wspólnego z zawstydzeniem. A później zaczerwieniła się znowu. I nagle poczuła że w ustach ma ogień. Nie potrafiła już jeść, a po chwili oddychać. Zawirowało jej w głowie i spadła z krzesła. Wśród ogólnego chaosu słyszała podniesione głosy.

– Nie, nie dotykaj jej! – była to chyba jedna z najsmutniejszych rzeczy, które usłyszała.

Wówczas uświadomiła sobie niewyraźnie coś śmiesznego. Już nikt nigdy jej nie dotknie. Ani ona nie dotknie nikogo. Powoli wracała do normy. Twarze dwojga ludzi pochylały się nad nią w napięciu. Próbowała się uśmiechnąć, ale prawda, która do niej dotarła, była jeszcze świeża, przykra.

– Przepraszam – powiedziała cicho kobieta. Jej głos był leciutki, kruchy. Nie podnosząc wzroku na twarz Miko, chwyciła talerz z resztą omletu i w całości wyrzuciła go do śmieci.

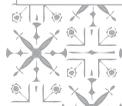
Rozległ się odgłos nadjeżdżającego samochodu i po chwili do mieszkania wpadł zasapany mężczyzna.

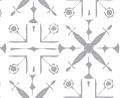
– Rudze, kupiłem wszystko, co mi kazałaś. Mam wątpliwości do nowych ubrań. Och, spadło mi. Kiedy teraz na nie patrzę, to widzę, że nie ma w nich nic dziewczęco.

Wszedł do kuchni. Na jego policzkach odcisnął się mróz, a na ustach uśmiech. Włosy, na skutek kontaktu z wiatrem miał potargane i zepchnięte w jedną stronę. Postawił na podłodze przy stole kilka kolorowych siatek i rzucił się na najbliższe krzesło.

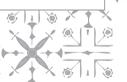
– Dzień dobry. Coś się stało?

– Przed chwilą prawie zabiłam Miko – powiedziała Rudze chowając





56

O astro-
naukach

się między garnkami.

– Mam uczulenie na orzechy – wyjaśniła dziewczyna, czując jak dziwny wstyd pali jej policzki.

Tej nocy położyła się spać w skafandrze z niewielką jedynie szparą na nos i usta. Wydawało jej się, że świat dookoła niej ogłuchł. Myślała znów o Babce, czując jak przez poczucie winy chce robić szalone, autodestrukcyjne rzeczy. Jednak mimo tego jak bardzo czuła się winna i bez wartości, wiedziała coś, co sprawiało, że wszelkie plany o pozabawieniu się życia nie miały sensu.

Contagiści umierają prędzej czy później, z reguły prędzej. Choć nie myślała o tym głębiej wcześniej, ta myśl jej nie przeraziła. Zgodziła się z nią. To dobrze, myślała ponuro, że świat czasem karze sprawiedliwie.

Znów miała sny pełne absurdu. O tym jak wchodzi do swojej starej kuchni, a jej skóra znów jest niebieska, szuka swojej mamy w każdej szafce i widzi przed sobą jej twarz, ma brązowe włosy i małe oczy, kiedy wychodzi na balkon widzi przed sobą omlet wielki na trzy metry, zasypany orzechami jak żwirem, a gdy się cofa, stoją przed nią ludzie upchani w każde miejsce mieszkania, wołając „Sto lat!“. Nagle jeden z nich schyla się i próbuje zapiąć swój but na zamek, a wszyscy pozostali na niego patrzą. Spina się i próbuje, ale za nic mu się to nie udaje. W końcu szarpie się z nim w jakimś dziwnym szaleństwie. Wtedy ktoś chwytą ją w pasie.

Patrzyła przerażonymi oczami na jakiś kształt w ciemnościach, szarpiący się z zamkiem od jej skafandra. Czuła, jak jej łóżko zgina się pod wpływem ciężaru, a czyjeś ciało muska jej kombinezon. W mroku dostrzegła zarys włosów, które rozciągały się tylko w jedną stronę, i czuła zapach pasty do zębów. Jej oczy rozszerzyły się w jeszcze większym strachu. Chciałaby go z siebie zrzucić, byłoby to najprostsze, ale ryzykowałyby dotknięciem. Poczowała się tak bezradnie i żałośnie, że mogła jedynie leżeć w paraliżu i jej twarz wykrzywiła się w suchym płaczu. Być może zauważył to przez szybę, a może zwyczajnie już wszystkiego mu się odechciało, bo puścił zamek i wolno padł na miejsce obok niej. Było zupełnie cicho, poza jednym spazmatycznym oddechem.

Gdyby chwilę temu udało mu się dotknąć jej skóry, byłby to jeden z najdziwniejszych aktów samobójczych. Dlaczego Hugo chciał prze-

stać istnieć?

– Potrzebuję wodoru – powiedział w ciemność. – To wszystko dlatego, że nie mam wodoru. Nie mogę polecić. Prawie mogłem. Chciałem być astronautą. Ale nie mam wodoru.

Wówczas Miko zrozumiała, że Hugo nigdy nie był zwykłym satelitą, lecz największym. Charon to księżyc, który pilnuje Plutona. Tak do niego podobny, choć znacznie mniejszy i trochę bez koloru, wpatrzony w niego jak w coś najlepszego. Przyćmiewał sobą widok na satelity jak Miko czy Furai. Kochał go tak, jak kocha się szczęście.

– Znajdę ci twój wodór.

Niezależnie od tego, że Miko była jak zwierzę przywiązane do drzewa, po raz pierwszy poczuła, że uda jej się, bo nie robi tego dla swojego uwolnienia. Wolność to nie coś, czym karmi się samego siebie. Miko nie potrafiła powiedzieć, że ma choć drobne marzenia, ale gdyby je miała i byłyby bliska ich spełnienia, najprawdopodobniej pożarłby ją głęboki smutek, że ciągle nie czuje się dostatecznie dobrze. Ale uwalnianie czyichś marzeń to zupełnie co innego.

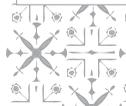
Hugo zaczął nucić pod nosem jedną z tych kolęd, które tylko się kojarzy, i obydwójce zasnęli.

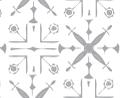
*

W końcu oczom Miko ukazała się powłoka gigantycznego balonu, zrobiona z gumowej tkaniny przypominającej bawełnianą. Jak węże snuły się po podłodze liny, grubsze i chudsze, biegnące od materiału do wiklinowego kosza, postawionego trochę bardziej z tyłu. Światło poranka przebijało się przez ściany szklarni, tańcząc na materiale i twarzy Hugo. Spojrzał na dziewczynę i wskazał rękoma na olbrzymia gestem dumnego ze swego dzieła artysty. Cieszył się jak dziecko.

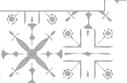
Miko uśmiechnęła się delikatnie, jak zwykle w ciągu ostatniego tygodnia, gdy Hugo ścigał brudne płachty połączonych ze sobą przescieradeł i wyglądając przy tym trochę jak marynarz stawiający żagle, za każdym razem cieszył się, jakby robił to po raz pierwszy.

– Freddie nie znał żadnych granic – powiedziała Miko, patrząc na grę światła. Trzymała w ramionach zeszyt obsyty grubą skórą, tak już





58

O astro-
naukach

wymięty od wiecznego zerkania w kartki. Hugo odpowiedział jej pół-
uśmiechem.

Czasem zdawało jej się, że Freddie był wszędzie poprzez swoje małe
produkcje, na ścianach i w pudełkach. Znajdując nowe rzeczy, czuła
się jak adresat anonimowych listów, na które nie ma jak odpowiedzieć.
Kiedy dowiedziała się, że Freddie niegdyś wypożyczył, jak to miał
w zwyczaju, ten właśnie balon, wyobrażała sobie z niewielkim tylko
smutkiem, że czasem, gdy słychać szmery lub jej włosy się poruszają,
Freddie oddycha tuż za jej uszami.

– Jeszcze dwa miesiące – powiedział Hugo pewnego styczniowego
dnia, zanurzając się w powłoce balonowej. Wyglądał odrobinę jak
bardzo dziwny ptak o skrzydłach barwy brudnego śniegu. Zdawało się
momentami, że jest szczęśliwy. Tymczasem Miko siedziała w wiklino-
wym koszu, ruchliwie wertując notatki gumowymi palcami i drapiąc
się ołówkiem po brodzie.

Zdobycie czegokolwiek mającego nawet znikomą związek z astro-
nomią i wszystkim, co na górze, graniczyło z niemożliwym i z pewno-
ścią było nielegalne. Dlatego plan wypuszczenia balonu w powietrze
musiał być idealny w szczegółach. Miko obiecała Hugo, że zdobędzie
dla niego wodór, który miał wypełnić olbrzymą, więc nie pozostało jej
nic innego jak szukanie rozwiązania. Plan przyszedł do niej pewnego
dnia, gdy usłyszała, jak Hugo opowiada o swojej szkole. W owym
miejscu, do którego chodził raczej sporadycznie, znajdowały się ob-
szerne piwnice łączące ze sobą budynki. Głęboko pod ziemią znajdo-
wały się magazyny mieszczące w sobie cały skonfiskowany kosmos,
który posiadało miasto. Może i plan nie był wyszukany, ale nikt nie
oczekiwał od Miko geniuszu.

– Każda szkoła obchodzi swoją noc związaną z patronem – powie-
działa raz, myśląc o własnej starej szkole. – Ludzie wtedy zawsze prze-
bierają się w idiotyczne stroje. – Nie miała nic przeciwko śmiesznym
kostiumom, poza tym, że zawsze kiedy sama się przebierała, nikt nie
rozumiał czemu spod słońca wystaje niebieska skóra, czemu telewizor,
kanapka, kominiarz są niebiescy. Miko, ty przecież nie musisz się prze-
bierać.

– Mamy u siebie taki dzień w marcu – odpowiedział z zaskoczeniem Hugo – ale nigdy nie miałem ochoty tam być. Czemu pytasz?

– Spójrz na mnie. Mam jeszcze bladą skórę i mieszkam w skafandrze. Jeśli mam kiedykolwiek zobaczyć jeszcze inne miejsca i ludzi, to kiedy, jak nie wtedy?

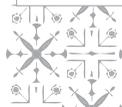
Plan, który Miko rozdzieliła na szczegóły, więcej miał w sobie z domysłów niż twardych faktów. Mimo to czuła, że Hugo, choć najczęściej zachowuje się jak skorupa człowieka, jest jej wdzięczny za zaangażowanie i brak słów takich jak „nie uda się”. Mimo to do Miko niejednokrotnie docierało, że nie uda się, bowiem w notatkach musi być jakiś poważny błąd.

– Działanie zgodnie z instrukcjami spowodowałoby, że balon byłby niesamowicie wysoko – powiedziała z wiklinowego kosza. – Ale wtedy pękłby jak zwykły balonik i nigdy nie wróciłbyś do domu. Potrzebujemy zmiany w instrukcji. I oczywiście spadochronu.

– Nie chcę spadochronu – odpowiedział spokojnie, leżąc z twarzą w powłoce. – I nie chcę zmian w instrukcji.

– Ale wtedy... – zaczęła i urwała. Przypomniała sobie jedną z kartek, wystającą z zeszytu i zabazgraną rysunkami przypominającymi dziecięce. Na jednej ze stron papieru narysowany był kolorowy balon stratosferyczny średniej wielkości, wraz z całym akcesoriom umożliwiającymi mu wzlot do nieba. Unosił się nad ziemią, próbując dosięgnąć chmury. Zaś na drugiej stronie, czego nie zobaczyła od razu, widniał obrazek płomiennego wybuchu, jasnego i wielkiego jak Słońce, na tle kosmosu. Pod spodem widniały szubujące w dół szczątki balonu i podkreślone dwa słowa: potrzebny wodór.

A więc to tak, pomyślała, czując, jak wielkie szczypce zaciskają się w jej wnętrzu, dwoje ludzi umrze jednocześnie. Jedno na dole, drugie na górze. Może jedno trochę wcześniej od drugiego. Zastanawiała się przez moment, jak może wyglądać jej śmierć. Co dość zabawne, będzie to przypominać wybuch balonu napełnionego wodorem. Jej środek nagle pęknie, kiedy będzie jeszcze myśleć o najbliższych planach, jak chociażby podrapanie się po nosie, i zawsze będzie zaskoczeniem. Tymczasem Hugo będzie już w chmurach, może jeszcze wyżej, i będą





60

O astro-
nautach

o nim mówić –:Hugo umarł jak astronauta, to musiała być piękna śmierć. Miko umarła splukując prysznicem ślady po paście od zębów.

– Nic nie zmieni twojej decyzji?

– Nic.

Milczeli przez chwilę, póki Miko nie nasunęła na głowę hełmu, pokazując tym, że nie ma nic do powiedzenia i usłyszenia. Wyszła ze szklarni, wpatrując się nisko, w swoje gumowe buty. Jest to para butów, to para rąk, tu para drzwiczek u szafki pod parą okien, pod podwójną parą ścian w kuchni, gdzie stoją podwójne słoiki z cukrem i solą, a tu para oczu, czy nie można umierać parami?

Zraszacz zaatakował jej bańkę, a po chwili również szmata, z głośnym odgłosem czyszcząc szybę. Czowała, że Rudze się uśmiecha, więc uśmiechnęła się również.

– Jak tam, Miko? – zapytała stłumionym głosem. Po chwili nacisnęła przycisk na hełmie, dzięki czemu Miko mogła ją zobaczyć. Poczowała zapach płynu.

Nie było sensu mówić jej, że jej syn chce popełnić samobójstwo, ona mu w tym pomaga, a tak poza tym to zazdrości mu tego i chciałyby, żeby umarli podwójnie, przecież tyle rzeczy jest podwójnych. Nawet tę szmatę dostawało się jako drugą w cenie jednej i miała dwie brudnożółte strony.

– Miko – zaczęła kobieta, a jej głos brzmiał miękko i nieśmiało. – Powiedz mi, czy ty kiedyś czułaś do kogoś więcej, niż do kosmosu?

Miko ogarnęło zdumienie i smutek, bo czowała, że Rudze uważa ją za kogoś, kogo Freddie nazwałby wyjątkowym, a reszta zdziwaczałym. Miko nigdy nie była dobra w nazywaniu wprost swoich uczuć, omijała wszystkie wielkie słowa, nazywając je po swojemu. Oczywiście, że czuła do Babki coś, co było przywiązaniem i pewnie poczuciem bezpieczeństwa, ciepłem, które czasem nagrzewało ją do nieprzytomności i od którego zdychała. Kochała wiele domysłów i wyobrażeń, miała ludzkie fascynacje i zdarzało jej się lubić ludzi.

– Przecież lubiłam Freddiego – powiedziała z lekkim oburzeniem, jakby została oskarżona o coś, czego nie zrobiła. On był taki kosmiczny.

– Czy mogłabyś powiedzieć, że kochałaś kiedyś kogoś tak, że kosmos nie był tak ważny?

– A to ma znaczenie?

Miko zmarszczyła się jak rodzynek, nie rozumiejąc, czemu kobieta tak na nią naciska.

– Czy w ogóle chcesz tu być, Miko, czy to tylko przez to, że pozwalamy ci na kosmos?

Poczuła się jak wtedy gdy była mała i chłopiec o imieniu Ariel powiedział jej po raz pierwszy, że jest odrębnym gatunkiem.

– Jesteś tak automatyczna – mówiła kobieta. – Nawet kiedy sprawiamy ci przykrość, nie płaczesz ani nie krzyczysz, nie uciekasz, nie pytasz właściwie o nic, poza tym, czy możesz wystawić teleskop na balkon. To takie niezupełnie normalne. Rozmawiasz z nami, ale też nie do końca normalnie, kiedy patrzę na ciebie, to wydaje mi się, że jesteś jednym zaplątanym kłębkim i zastanawiam się, czy masz marzenia. Nie wiem prostu, czy czujesz jak każdy człowiek.

Czy umiesz kochać, mówiły otaczające ją zewsząd ściany. Jesteś tak automatyczna. Tak dziwaczna.

– Freddie powiedział kiedyś, że widział niebiesko skórą dziewczynę, na którą gdy się patrzy, myśli się, że jest w bardzo odległym miejscu i nigdy nie jest bliżej.

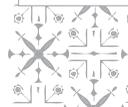
Twarz tej kobiety, która mówiła takie straszne rzeczy, przypominała Miko we wszystkim właśnie chłopca, sięgającego jej do brody. Spojrzała na zdjęcie Freddiego za oznaczonym krzesłem, jakby szukając u niego poparcia, że jest tylko wyjątkowa.

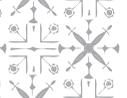
– Ale Freddie... - zaczęła. Czy Freddie był zwyczajny?

Wspinała się na schody, czując jak się z nich stacza. W kosmicznym pokoiku i ciemności było jej dobrze, najlepiej. Siedziała aż do nocy przy oknie i patrzyła na szklarnię. Oddychała ciężiej niż zwykle, zastanawiając się, czy Rudze jej zwyczajnie nie lubi.

Babka na pewno kochała, myślała Miko, bo często powtarzała, że coś kocha. Kapelusze, makowiec, niedziele czy młodość. I ją. A Miko na pewno kochała Babkę. Tak było.

Pewnego dnia, dawno temu, gdy zobaczyła Ariela z jego skórą jak mleko, poczuła, że chce być nim. Chce mieć jego odważne spojrzenie i każdy kolor na ciele. Jeśli to nie miłość, to co nią jest? Innego dnia





widziała dziewczynę, która miała krwotok z nosa. Chciała jej pomóc, bo była piękna i miała błyszczące, brązowe włosy, nie tak białe jak włosy Miko. Zapytała się jej nieśmiało, czy zrobić jej okład, a gdy ona ją zobaczyła, zapytała czy pomóc Miko, bo jej skóra ma dziwny kolor. Widziała też nauczycielkę, która zawsze ubierała się w kwieciste spódnice i była wysoka do nieba. Pewnego dnia powiedziała kilka słów w jej obronie i Miko zastanawiała się później, czy jest w niej zakochana. Woźna zawsze była dla niej miła i miała w kieszeniach cukierki, które smakowały rozkoszą. Mówiła tylko o swoich dzieciach, których miała cały dom i Miko z jakiegoś powodu chciała być jeszcze bliżej niej. Spotkała kiedyś chłopca i widząc jego kosmiczną pelerynę, zachciała poznać wszystko, co wie o wszechświecie, i cieszyć się razem z nim, pokazać mu własny kawałek kosmosu i jeść z nim pomarańcze na dachu szkoły.

Nie ma w tym nic niezwykłego, myślała, więc Rudze musi po prostu jej nie lubić.

– Podobno nie masz marzeń – powiedział Hugo, wchodząc do pokoju wraz z wątym światłem wchodzącym do pokoju. Dlaczego dziś wszyscy byli tacy dziwni? Chcieli umierać albo robić z niej dziwaka.

– A ty chcesz umrzeć.

– Nie, chcę spełnić swoje marzenie. Śmierć jest tylko przy okazji.

– W takim razie mam to samo marzenie. I nic poza tym.

*

– Ten niezręczny moment – wyszeptał Hugo nachylając się nad jej lewym uchem – gdy nie wiesz, co zaśpiewać osobie, obchodzącej swoje ostatnie urodziny. – Patrzyli na dwoje dorosłych ludzi namawiających się wspólnie w kącie kuchni. Rudze, która w obydwu dłoniach trzymała kwiecisty obrus, i mężczyzna szukający czegoś intensywnie po kieszeniach. Kobieta spoglądała na niego swoimi małymi oczami pełnymi wyrzutu.

Miko obróciła głowę w stronę chłopca, patrząc na niego zza na wpół odsłoniętej szyby. Siedział z dłonią opartą o stół i zanurzoną w swoich brązowych włosach, mrużąc radośnie oczy. Uśmiechał się, przez co jego rysy układały się w twarz zupełnie innego człowieka.

Miko nigdy nie spotkała się z kimś, kto tak bardzo cieszyłby się na myśl o umieraniu. Tymczasem Hugo, wraz z nadejściem marca, uśmiechał się nieustannie i prawie równocześnie się śmiał, mówił więcej i żył każdym dniem. Zdarzało się, że znikał na dzień, lub kilka, a gdy już wracał, za każdym razem przypominał kogoś innego.

– Sto lat – zamruczał, rytmicznie uderzając palcami o stół – dwieście lat.

Zarówno jego uśmiech, jak i brzmienie słów powodowało w Miko dziwnie gorzkie uczucie, jak wtedy, gdy mając dwanaście lat dostała największą czekoladę ze wszystkich dzieci, słysząc przy tym, że to rodzaj pocieszenia.

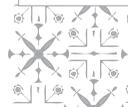
– Wszystkiego najlepszego, Miko! – powiedziała w końcu kobieta, a jej rozwarte usta zabłyszczały od szminki. Gdy kładła na środku tort przekładany biszkoptem i jagodami, blask osiemnastu płonących świeczek tańczył na jej uśmiechniętej twarzy. Spojrzała znacząco na mężczyznę, który wyciągnął zza pleców niewielkie pudełko w jaskrawozielonym opakowaniu.

– Z okazji osiemnastych urodzin. – Położył na stole prezent, jak nieśmiałe dziecko bawiąc się sterczącymi włosami. – Otwórz, otwórz.

Kiedy otworzyła wieczko, przez moment pomyślała, że trzyma w dłoniach kawałek kosmosu, jak gdyby jakiś szalenciec chwycił za strzelbę i celował w gwiazdy. Pod szkiełkiem niewielkiego medalionu znajdowało się zdjęcie mgławicy – mgławice to wielkie skupiska gazu i pyłu międzygwiazdowego, które uznawane są za jedne z najpiękniejszych obiektów we wszechświecie. Są chaotycznym splotem barw i kształtów. Miko rozpoznała ją z książki o mgławicach, którą znalazła jakiś czas temu na półce. Była to Mgławica Carina, należąca do największych i najjaśniejszych. Barwy takie jak błękit, złoto, fiolet przeplatały się ze sobą i mogło здаwać się, że kolory poruszają się, jak gdyby przedmiot oddychał.

Hugo zaczął się śmiać w swoje ręce oparte na stole, który natychmiast zaczął drżeć i trząść się, jakby śmiech był aż tak zaraźliwy.

– To takie śmieszne – mówił, z oczami pełnymi łez – że byliście zdolni do tak tkliwego gestu. Ten efekt. Widzisz, Miko – odwrócił się do niej





z tym dziwnym gorzkim wyrazem twarzy – moi rodzice uwielbiają takie rzeczy. Nie wiesz o tym, ale szyba, która chowa to zdjęcie, ma ten sam kształt, co twój hełm. Znaczy to mniej więcej tyle, że widzą cię tak pięknie, jak piękna jest ta mgławica. Ulubiona Freddiego, wiedziałas?

Kątem oka dostrzegła, jak twarze jego rodziców przybierają coraz to intensywniejsze kolory, za to kolor ścian wokół nich jakby gaśnie.

– On uwielbiał takie gesty, zawsze. Trzeba było wiecznie uświadamiać mu, że jest wyjątkowy i nawet nie wyobrazasz sobie, jak byłby zachwycony, gdyby ktoś dał mu ten naszyjnik i powiedział „Freddie, tak cię widzę”. Dlatego moi rodzice pomyśleli, że będziesz naszą mgławicą. Ale tak naprawdę, będzie to zawsze tylko Freddie. Bez ciebie.

Miko nie rozumiała. Nie wiedziała, czy ma być jej przykro, bo znów jest tylko substytutem kogoś kosmicznego. Nie patrzyła na niego, lecz na kobietę, której oczy utkwione były w martwym punkcie i mężczyznę o sztywnych ramionach. Twarz Freddiego znad jego oznaczonego krzesła uśmiechała się do nich promiennie, tak niepasująco.

– Cieszę się, że tak ci wesoło, Hugo – powiedziała w końcu Rudze, przybierając na twarz nienaturalny uśmiech. Sięgnęła wolno po nóż ze zmywarki i zbliżyła go do środka tortu. – Twoje urodziny też cię nie ominą, do kwietnia już naprawdę niedaleko.

– Dobrze, czekam – odparł Hugo z nagłą wesołością.

Nie.

Nieważne jak wiele mieszkało w nim ludzi, każdy z nich wkrótce odejdzie, bo Hugo nigdy nie doczeka swoich kolejnych urodzin, jego matka nie będzie piec ciasta ani układać serwetek, ojciec nie będzie musiał zastanawiać się nad prezentem. Ich syn zwyczajnie zniknie z ich życia, nim zaczną przygotowania. Miko patrzyła na twarz Rudze, która powoli wracała do normalnej barwy, i zastanawiała się, jak smutno wyglądać będzie jej świat pozbawiony dzieci. Przypomniała sobie swoją własną matkę, której twarzy nie pamiętała, i pomyślała, że świat pozbawiony dzieci może nie dla wszystkich jest tragedią.

– Odnoszę to do pokoju – powiedziała, siląc się na uśmiech. Rudze oblizała palec, na który skapnął właśnie kawałek krojonego przez nią tortu. Pokiwała głową i zdawało się, że kuchnia znów ma kolorowe ściany.

Usiadła na podłodze, wpatrując się w okna szklarni i ziemię pełną

łota i śniegu. Słońce wpadało do jej pokoju, tworząc nieruchome smugi. Myślała o tym, że gdy Hugo odleci na swoim kosmicznym balonie, ona jeszcze przez moment przed śmiercią będzie najsmutniejszym człowiekiem świata.

– Jesteś szalony – mruknęła, słysząc jak drzwi cicho się otwierają. Utkwiła gumowy palec w podłódze, wpatrzona w niego jak w coś interesującego. – Ale wydaje mi się, że tutaj to dość normalne.

Hugo oklapnął obok niej, grzebiąc w tym samym miejscu w deskach. Miał żylaste dłonie i krótko ostrzyżone paznokcie chudych palców. Miko odsunęła rękę, bojąc się, że się dotkną.

– Myślałem, że będzie to prostsze. Zostawienie tego wszystkiego – powiedział, patrząc na ich odbicia w szybie. Z jego twarzy zniknęła jakikolwiek cień gorzkości albo tego nienaturalnie serdecznego uśmiechu. – Zdejmij rękawice.

Oczy Miko rozszerzyły się w zdumieniu.

– No już. I zamknij oczy.

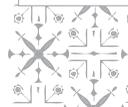
Zakrywając powiekami ostatnie spojrzenie pełne urazy, wyjęła ze skafandra prawe ramię, niepewnie opierając palce w tym samym miejscu na podłódze.

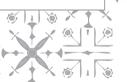
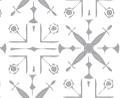
Przez chwilę nie słyszała zupełnie nic, poza nikłym odgłosem ich oddechów, a później... Później zdawało jej się, że trzyma rękę w słońcu. Czuła na dłoni jego ciepłą energię, która wędrowała wolno od ramienia do palców, gdzie w końcu się zatrzymała. Było to tak delikatne uczucie, że bała się oddychać, aby westchnięciem niczego nie zburzyć.

– Spójrz na szybę.

Gdyby nie wiedziała, gdzie się znajduje, pomyślałaby, że siedzą przed lustrem, które zmienia rzeczywistość. Oto co było przed nimi –: dziewczyna z bańką dookoła głowy, o poczochranych perłowych włosach i rumianych policzkach na tle jeszcze trochę niebieskiej skóry, z oczami i ustami rozszerzonymi w szoku oraz dłońmi przylepionymi do podłogi i schowanymi pod jego palcami.

Spojrzała w dół, na jego palce, wbite w wolną przestrzeń między jej palcami jak pająk o chudych nóżkach, nie stykające się z jej skórą, ale wywołujące ciepło. W odbiciu wyglądało to tak realnie, jak gdyby ich





dłonie naprawdę się dotykały.

– Wydaje mi się, Miko, że nawet ludzie o wielkich ograniczeniach mogą mieć coś, czego nie mają ci zupełnie wolni. Jeśli im zależy. Dlatego też wolność ma dla nich inne znaczenie.

Patrząc na niego zastanawiała się, czy to już Freddie, czy to ciągle Hugo. Czy są wersją tej samej osoby, która kiedyś zwykle była wesoła, a dziś najczęściej smutnieje. Roześmiał się, zawstydzony swoimi słowami, i do Miko doszła taka śmieszna oczywistość, że Hugo nie miał na myśli jej.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział w końcu, ostrożnie zabierając dłoń. – Jutro mamy naszą wielką akcję, więc lepiej się przygotuj. A za kilka dni, wylądujemy gdzieś w chmurach. – Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

– Ja... mogę lecieć z tobą? – zapytała zamknięte drzwi.

Nigdy nie powiedziała by wprost, pomyślała. Ale nie miało to w tej chwili większego znaczenia, bo miała wszystko czego było jej trzeba.

*

Jutro nastąpiło, gdy Miko śniła o matkach, planetach i Babce, dzisiejszych planach, dotyku i umieraniu. Gdy otworzyła oczy, jej serce biło bardzo niezdrowo. Wpatrywała się oszołomionym spojrzeniem w Rudze, której drobna głowa zwrócona była w jej kierunku.

– Przez moment bałam się, że nie żyjesz – powiedziała cichym, miękkim głosem. Pochyliła się nad Miko, marszcząc brwi w zatroskaniu. Końcówki jej rozpuszczonych włosów kołysały się nad przezroczystą powierzchnią skafandra. – Twoja skóra... prawie z dnia na dzień robi się bledsza – wyjaśniła, patrząc na nią dziwnie przenikliwie.

– Contagiści – zaczęła Miko, ale oprzytomniała i nie dokończyła. Contagiści tak mają, myślała, że ich skóra, włosy, oczy jaśniejają, iskrzą się, a w końcu umierają.

– Przyniosłam ci herbatę. I precle – podała jej obszerną tacę i uśmiechnięta patrzyła, jak dziewczyna niepewnie sięga po jedzenie. Jej spojrzenie było przyjemne, bo miała miłe oczy, ciepłe i kochające. Aż nagle się zmieniło w intensywniejsze i w końcu było już tylko pełne

dziwnego żalu. – Czy ty mnie kochasz mnie, Miko? Jak matkę?

Nastała długa pauza, w której myśli Miko pędziły taranując się nawzajem. W odpowiedzi stać ją było tylko na żałosne wpatrywanie się w kawałek pieczywa, wbijanie w niego pobladłych palców, jakby winny był temu, że Miko nie wiedziała. A czy to ma znaczenie, myślała, gdy się umiera?

Rudze już nie patrzyła na nią, tylko na drzwi. Wstając, odwróciła się tylko na chwilę, rzucając jej prawie zwykły uśmiech.

– Zapomnij. Jedz spokojnie.

Zwyczajnie wyszła.

Resztę poranka Miko spędziła na oglądaniu nudnych kreskówek i liczeniu wszystkich sztuk precli w lodówce, szafkach, spiżarni i tych porzuconych w dziwnych miejscach. Popołudniu nieustannie powtarzała w myślach plan na wieczór, obchodząc szklarnię dookoła lub krążąc po salonie, zasłaniając mężczyźnie telewizor. Aż do zapadnięcia ciemności niecierpliwiła się nieobecnością Hugo, z nerwów wrywając sobie pojedyncze kosmyki włosów.

Pojawił się, gdy w całym domu po kolei gasły lampy, a w koszyku na stole został tylko jeden nadgryziony precel. Usiadł na kuchennym krześle naprzeciw Miko, której wzrok wolno błądził po jego twarzy. Czują się lepiej, gdy milczeli ze sobą.

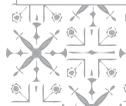
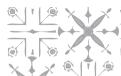
– Poszli spać – poinformowała go w końcu, bawiąc się obrusem. – Powinniśmy już iść.

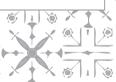
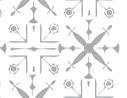
– Mama zawsze kładzie się spać z tatą – powiedział Hugo – ale po kilku godzinach schodzi na dół i ogląda telewizję, zjada mnóstwo ciasteczek pomarańczowych albo robi precle. To taki sposób na tęsknotę.

Miko spuściła wzrok na skrawki stołu i zarumieniła się.

– Kiedyś ciągle podcinałam grzywkę – zaczęła – bo moja babcia miała jedno z niewielu zdjęć mojej matki, która miała tak podcięte włosy. To było prawie jak rytuał, czasem dwa razy w tygodniu – mówiła szybciej i głośniejszym głosem, rumieniąc się przy tym jeszcze mocniej. – Wydawało mi się, że w ten sposób coś nas łączy. Ale to było kiedyś, kiedyś. Chodźmy już.

Hugo uśmiechnął się, spoglądając na jej czerwone policzki i grzyw-





kę, podciętą wysoko nad brwiami.

Kiedy wyszli, oczom Miko ukazał się grafitowy volkswagen ze sporą metalową przyczepą i kolorowymi siatkami połyskującymi z tylnych siedzeń. Wsiadła do niego ostrożnie, uważając na skafander.

Jechali dość szybko, nie mijając innych samochodów. Miko patrzyła na siebie w lusterku, zastanawiając się, czy nie wygląda jak dziecko w przebraniu. Spojrzała na Hugo, wpatrzonego spokojnie w drogę. Jego twarz również nie wygląda poważnie, myślała w milczeniu. Faktycznie jesteśmy tylko dziećmi. Ale czuła, że w tym zdaniu coś brzmi nie tak.

– Nie wysiliłaś się z przebraniem – rzekł Hugo, uśmiechając się pod nosem. Miko mruknęła coś o tym, że skafander się nie liczy, bo to jej ulubiona skóra, ale nie potrafiła mówić więcej, mając wrażenie, że w jej gardle znajduje się znieczulenie. Z hełmem przyciśniętym do szyby wyszukiwała na niebie gwiazd.

Zajechali pod sporej wielkości białoszary budynek, posiadający wąskie, prostokątne okna i płaski dach. Nie przypominał on szkoły, a bardziej blok mieszkalny. Po jego obdrapanych ścianach wił się liściasty żywopłot, a na ziemi sadowiły się obfite kałuże. Z uchylonego okna na górnym piętrze roznosiła się wyjątkowo hałaśliwa muzyka.

– Wysiadaj. I czekaj tu na mnie – powiedział Hugo i mimo oburzenia Miko, czymś na kształt kija wypchnął ją z auta.

Stała bezradnie w kałuży, obserwując oddalający się samochód i powtarzała w myślach plan. Zaraz wejdą do szkoły, ona trochę wcześniej niż on. Zatrzyma się na parterze, który będzie pusty, bo wszyscy są na trzecim piętrze. Naciśnie guzik i ucieknie przez białe schody na końcu korytarza, aż na sam dół do piwnicy. Poczekają na Hugo korzystającego z chwilowej nieobecności portiera, który będzie musiał to sprawdzić i zostawi klucze. Spotkają się na dole i wejdą przez piwnicę do podziemnych magazynów, łączących całe miasto. Z magazynu zabiorą butle i wypchną je przez okno tylnego wyjścia szkoły. Ten plan, pomyślała Miko z niesmakiem, brzmi teraz dziecięco żałośnie.

– I jak? – zapytał znajomy głos. Odwróciła się, zauważając pod drzewem cień dziwacznej postaci, z porożami wystającymi z głowy.

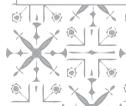
Ubrany w brązową skórę zwierzęcia, stał przed nią Hugo, z czerwoną bańką na nosie. Spoglądała na niego z sympatią w oczach. Śmiał się, promienny jak Freddie, gdy przebiegał przed jej nosem z kosmiczną peleryną, ciągnąc za sobą zaciekawione spojrzenia ludzi.

–Idę – powiedziała, odwracając skrępowany wzrok. Hugo zamilkł, obserwując, jak stawia niepewnie kroki na schodkach. Przy drzwiach frontowych zatrzymała się, aby ostatni raz spojrzeć w jego kierunku i ponad nim, na księżyc przysłonięty drzewami. Nacisnęła klamkę, czując pod gumowymi rękawicami jej chłód.

Obszerny hol, w którym się znalazła, był zupełnie pusty, nie licząc portiera zamkniętego w swojej niewielkiej kabinie po lewej stronie. Dookoła niej znajdowały się blade miętowe ściany i zwykłe, plastikowe krzesła, przypominające wystrojem gabinet lekarski. Były tam również wieszaki z lewej strony i medyczne szafki z prawej, jeden drewniany stół usadowiony z jakiegoś powodu na środku oraz toster na zakurzonej podłodze, podłączony do gniazdka. Korytarze wyglądały równie pusto, jak hol. Spojrzała kątem oka na portiera, który właśnie nastawiał wodę w czajniku elektrycznym, wpatrzony w niewielki telewizor. Zanim zdążył się odwrócić, Miko biegła już przez parter.

Zawsze zastanawiała się, co stanie się, gdy naciśnie przycisk. Zbliżając się do niego w biegu, jak kiedyś wyobrażała sobie strażę zeskakującą z sufitu, z bronią wycelowaną w jej skafander. Zdziwiło ją, że w dotyku przypominał gumę. Przez sekundę nic się nie działo, aż nagle zapłonął niebieskim blaskiem, wydając z siebie przeraźliwe wycie. Starając się opanować paraliżujący strach, Miko uciekła schodami aż na sam dół, z sercem tłuczącym się metr za nią.

Hugo pojawił się po trzech minutach, z policzkami rumianymi od emocji i błyszczącymi oczami, które ledwo wystawały spod jego zwierzęcej maski. Spojrzawszy na siebie raz tylko, sprawdziwszy czy wszystko w porządku, przeszli bez słowa przez piwnicę, a z piwnicy przez obszerne korytarze rozświetlone tylko światłem latarek. Do właściwego magazynu doszli po piętnastu minutach drogi. Tak jak mówił Hugo, butle z wodorem zagrażały część jednego z magazynów, porzucone jak





mało interesujące przedmioty, nie niebezpieczne substancje. Były bardzo ciężkie, więc obecność Miko polegała tylko na obserwowaniu wymęczonego chłopca i ewentualnym turlaniu ich w wyznaczonym kierunku. Po czterdziestu minutach potrzebne butle udało im się ostrożnie umieścić za wąskim oknem, nie należącym już do szkoły, lecz do zamkniętego teatru, z obszernym kontenerem na śmieci na dole. Z butlami czy bez, śmietnik przypominał ten sam bałagan, do którego nikt o zdrowym węchu nie miałby zamiaru podchodzić. Nieszczęśliwi musieli być ci, którzy mieszkali w kamienicach obok.

– Udało się – powiedział Hugo z uśmiechem, przerzucając ostatnią butlę. Opierał się rękoma o ramę okna. Wydawał się być zaskoczony, jakby niezupełnie wierzył, że może im się udać i jakby nie do końca tego chciał. Był dziwnie zgaszony, czego Miko nie potrafiła zrozumieć. Sama, opierając się o chropowatą ścianę, cieszyła się jak dziecko. – Wracajmy.

Szli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, wdychając zapach pleśni i wilgoci.

– Czy to proste dla ciebie? – zapytał nagle Hugo. Wiedziała, o co pyta. O odejście. Może było to tylko wrażenie, a może naprawdę była to dla niej najprostsza rzecz na świecie. Nie odezwała się, myśląc, że gdyby powiedziała prawdę, uznalby ją za kogoś, kto nie ma wcale ludzkich odruchów. – Czasem chciałbym tylko zostać w domu, ale wtedy czułbym, że ciągle oczekuję czegoś, co nie może się zdarzyć.

Otworzył drzwi piwnicy i wszedł na białe stopnie, a Miko, jak jego cień, podreptała tuż za nim.

– Chodzi mi o to, Miko, że to nie powinno tak wyglądać – powiedział, gdy znaleźli się tuż przy wyjściu na korytarz. Poczuli się przez moment bardzo dziwnie dotknięta i zaniepokojona. Chciała, żeby Hugo się odwrócił i spojrział na nią, tak aby mogła ocenić kim jest w tej chwili, ale to się nie zdarzyło. Natomiast wyszli na korytarz, który, jak się okazało pełen był poprzebieranych ludzi, patrzących na nich w szoku, strachu, ciekawości. Kilkoro ludzi w szarych marynarkach wpatrywało się w nich ponuro, bez cienia uśmiechu. Straże.

– Które z was przycisnęło guzik? – zapytał jeden z mężczyzn. Był w średnim wieku, miał brudne włosy i potężne dłonie, w których trzy-

mał podłużny metalowy kij, będący jednocześnie czujnikiem i bronią.
– Czy któreś z was jest zarażone?

Zarażony, znaczy to tyle: strażę zabierają cię w ustronne miejsce i zadają ostateczny cios, bo nie możesz żyć będąc zagrożeniem. To taki smutny świat, w którym jeden wskazujący gest równa się natychmiastowej egzekucji.

Hugo, który dotychczas stał do niej plecami, odwrócił się wolno w jej kierunku, patrząc na nią z oczami pełnymi dziwnego żalu, bez choćby resztek uśmiechu. Patrzył na nią jak ktoś, kto zamierza się pożegnać, ale brak mu słów. Nie, nie, nie, myślała Miko panicznie, nie w ten sposób.

Stojąc w tamtym miejscu, poczuła, że coś się w niej zmieniło. W strachu, że się rozpada, przycisnęła dłonie do ciała, a pod nimi, jak struny naciągnięte za mocno, pękały mięśnie jej serca, jej wszystkiego. Z twarzą pobladłą od z mdłości wpatrywała się w metalową broń, wycelowaną w jej hełm.

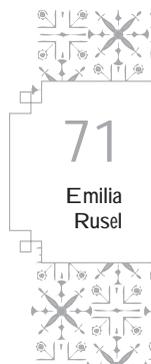
Hugo, ten brązowooki chłopiec, wspaniały, dość kosmiczny, obydwójce lubią pomarańcze i mieli wspólne marzenie, śmierć, przyjaciela, ten niby – Freddie, nie spuszczał z niej wzroku, powiedział tylko:

– Ona, to ona jest zarażona.

*

„Skończyły się precle”, powiedział chłopięcy głos, łaskocząc jej ucho. Rudze obudziła się, z sercem trzepoczącym w piersiach jak skrzydła uciekającego nietoperza. W ciemnościach wpatrywała się w swoją kosmiczną poduszkę, ciepłą i wilgotną. Sen, powtarzała sobie, jak każdej nocy. I czuła tylko rozczarowanie większe od niej.

Zdjęła nogi z łóżka i boso wyszła z pokoju, odprowadzana pochrapywaniem męża. Precle, chodziło jej po głowie, skończyły się precle. Jak lunatyczka sięgnęła w ciemności do lodówki, chcąc wyłożyć wszystkie niezbędne do produkcji składniki, ale w połowie przypomniała sobie, że poprzedniej nocy wykorzystała wszystko. Chwyliła się za policzki, usiłując coś zrobić, cokolwiek, żeby nie zwariować. Cisza ogłuszała ją, więc włączyła telewizor. Szukała po szafkach, w spi-





żarni i na balkonie, czy nie ma choć grama drożdży, mąki, masła.

– Boże, tak mi przykro – powiedziała, siadając naprzeciwko krzesła Freddiego. – Przepraszam.

Oparła głowę w dłoniach i próbowała się uspokoić. Minuty po prostu mijały. I po prostu mijałyby dalej, gdyby nie usłyszała głosu, który skądś znała. Zmarszczyła brwi, odwracając się w stronę telewizora.

– ... i czasem pytają, jak nazywa się mój gatunek.

– I co im wtedy odpowiadasz?

– Że jestem tylko niebieska.

Rudze podeszła do telewizora, wpatrując się w niewielką twarzączkę kilkuletniego dziecka, ze skórą o wyjątkowym niebieskim kolorze. Dziewczynka miała bardzo jasne włosy i zaróżowione policzki, co wyglądało na niej dość zabawnie. Chowała się przed kamerą i mikrofonem.

– Miko interesuje się astronomią – mówiła starsza kobieta, ubrana w elegancki pierzasty kapelusz. – To chyba wszystko, na czym jej zależy.

Niewielka Miko zniknęła, a na jej miejscu pojawiło się zdjęcie starszej. Rudze przeraziła się na myśl o tym, że jacyś ludzie już wiedzą i szukają jej Miko. Wpatrując się w telewizor z napięciem, pocieszała się myślą, że póki Miko jest w domu, jest bezpieczna.

*

Mężczyzna o szerokich ramionach podszedł wolno w jej kierunku, wyciągając przed siebie metalową broń. Ponad jego ramieniem Miko widziała chłopca, który ją zdradził. Patrzyła na niego ze strachem, prosząc go spojrzeniem, żeby nie pozwolił jej umrzeć dzisiaj.

– Co za różnica – powiedział cicho, blady i kruchy. Czy umrzesz dzisiaj, czy jutro. Jak umrzesz.

Zimny koniec metalu zetknął się z zapięciami jej skafandra. Czując, że zaraz umrze od okrutnego przebicia serca laserem, nie potrafiła skoncentrować się na żadnej porządnej myśli, która byłaby godna być jej ostatnią. Hugo ponad jej ramieniem nie odrywał od niej wzroku, nagle był tylko przerażony. Ludzie odwracali wzrok.

Górna część przedmiotu zadrgała i rozbłysła na żółto.

– Nie wychwytuje – mężczyzna zmarszczył się i dźgnął Miko jeszcze

kilka razy z tym samym rezultatem. Spojrzał ostro w jej twarz, jakby była temu winna, i skrzywił się. –Możesz iść – powiedział zrezygnowany. Spełzła po ścianie jak kawałek galarety, oddychając nierówno. Strażnik odwrócił się od niej, metalowym kijem wskazując na kogoś stojącego za nim –Ale ty idziesz z nami.

Hugo, krzyczała w głowie Miko, ty głupi samobójco.

– Hugo... – jak pies wierny swojemu panu, stanęła na drżących nogach i trzymając się ścian, szła za strażami. Jeśli będzie trzeba, to zdejmie skafander i dotknie ich. Ale... dlaczego czujnik nie działał? Hugo wyglądał z początku tak spokojnie, jak gdyby był pewny, że wszystko będzie w porządku, ale później był przerażony równie mocno, co ona sama.

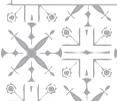
Jeden z mężczyzn spojrzał na nią przez ramię i gestem dłoni kazał zostać. Przystanęła na holu, patrząc jak poroża renifera znikają w jednym z tych strasznych, zagrożonych korytarzy.

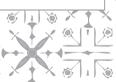
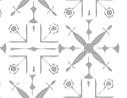
– Lepiej tu zostać – powiedział portier ze swojego schronu. Miko spojrzała na niego szybko zabłąkanym wzrokiem. Uśmiechał się, chcąc dodać jej otuchy. Wyglądał na miłą osobę. Miał siwe włosy i brodę, zakręconą kilkakrotnie wokół szyi jak praktyczny szal, chude dłonie zawinięte w ciasny, granatowy sweter i pełno pieprzyków na twarzy. – Możesz tu na niego czekać, a ja zaparzę ci trochę herbaty. Malinowa, z cynamonem, z pomarańczą?

Patrzyła na niego niepewnie, zastanawiając się, skąd u niego tyle dobra. Odwracając wzrok w kierunku korytarza, zgodziła się na herbatę z pomarańczą i zaproszona gestem, zatopiła się w jednym z foteli, co do złudzenia przypominało jej siedzenie przy Babce. Może to przez telewizor, z wyłączonym dźwiękiem, na którym właśnie pojawiła się jakaś wychudzona kobieta o jasnych, kręconych włosach.

– Straże nie mogą mu nic zrobić – mówił, szukając po szafkach łyżeczki – więc wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnął się łagodnie. Gdy kładł na stoliku dwa pełne kubki, w świetle lampy zabłysła jego niewielka łysina. Wzrok Miko nagle padł na tablicę korkową powieszoną przy telewizorze. Była pusta, nie licząc parunastu kolorowych pinezek.





– Kiedyś była pełna – powiedział, podążając za jej wzrokiem. – Ale gdy nastąpiło Contagium, byłem zmuszony zdjąć wszystko. Uczyłem tu astronomii – dodał, skubiąc swoją białą brodę – ale gdy tego zakazali, zostało mi tylko to – wskazał na niewielkie pomieszczenie.

Miko wpatrywała się intensywnie w korytarz, na którym zniknął Hugo, licząc, że zaraz go zobaczy. Starzec czknął, przez co oblał się herbatą. Zaklął.

On już nie wróci, myślała Miko panicznie, gryząc gumowe rękawiczki. Będzie musiała obejść szkołę i znaleźć butle, załadować je na przyczepę i pojechać do domu. Boże, ona przecież nie umie jeździć, później napełni balon wodorem, ale zupełnie nie ma pojęcia jak to zrobić, gdy to robi, to polecą, ale nie wie jak się unieść, może ten starzec wie? Zrobiło jej się tak żałośnie, gdy wyobraziła sobie, jak we dwoje fruną do góry. I wtedy poczuła, że cienka chusteczka dotyka jej policzka, prowadzona palcem, który dotknął jej nagiej skóry.

Patrzyła na starca w osłupieniu, otwierając drżące usta. Spoglądał na nią zdumiony, nierozumiejący. Taki głupi! Dotknął jej. Umrze. Choćby zaraz. Zerwała się niezgrabnie z fotela, trącając ręką kubek, który potoczył się po ziemi. Przykryła gumowymi dłońmi swój nos i usta, wpatrując się w niego przerażona. Nie umierał. Uświadomiła sobie, że płacze i wybiegła w ciemność.

– Miko.

Hugo pojawił się za nią, z troską spoglądając w jej twarz. Był lekko zarumieniony, ale zupełnie bez szkody, nawet bez przekreślonych poroży na głowie. Widzenie go całego było jedną z najlepszych rzeczy, jakie jej się przydarzyły w życiu. Gdyby tylko mogła dotknąć jego skóry, żeby nie myśleć, że to wszystko jest tylko wyobrażeniem.

Kazał jej usiąść, ładując butle na przyczepę. Na prośbę Miko z niewielkim uśmiechem odwracał się ciągle w jej kierunku, żeby mogła być pewna jego realności. Gdy skończył, zapakowali się do auta i pojechali.

– W organizmach contagistów można wykryć większą ilość niektórych pierwiastków i inne, których nie ma w organizmie ludzi niezarażonych. Freddie zneutralizował ich obecność w tym skafandrze, dlatego na czujniku pojawiło się, że jesteś zdrowa.

Miko oddychała odrobinę spokojniej, mimo chaotycznych myśli.

– Jak ci się udało? – zapytała tylko, patrząc na niego z może podziwem. Oderwał wzrok od drogi.

– Kiedy sprawdzili, że mój ojciec pracuje w szpitalu, nie mieli więcej pytań. Nie byli aż na tyle bystrzy, aby zobaczyć, że nie pracuje usypiając contagistów, tylko ucząc zwykłych pacjentów – uśmiechnął się. – To dlatego mamy tyle kosmicznych rzeczy w domu, pracowników szpitala nigdy nie sprawdzają.

Patrzyła na niego z boku, obserwując jak zapada w milczenie. Wiedziała, że chce polecieć, ale nie będzie czuł się z tym szczęśliwy. Choć jeszcze mniej, gdy zostanie na Ziemi. Tymczasem Miko czuła, że jeśli gdziekolwiek może być szczęśliwa, to nie na jej powierzchni.

Jeszcze przed porankiem Hugo napełnił gazem balon, który nagle urosł do olbrzymich rozmiarów. Nie zmieściłby się w środku szklarni, gdyby chłopiec nie otworzył wcześniej sufitu. Zasnęli obydwój na podłodze, wpatrując się w ciemne niebo, zawinięci brudnymi płachtami połączonych ze sobą prześcieradeł.

– Wiesz, prawda? – powiedział Hugo na chwilę przed ostatnim snem na Ziemi.

– Że co?

– No, nie patrzyłbym ot tak sobie, jak umierasz.

– Wiem – nastąpiła chwila ciszy. – A ty wiesz?

– Że co?

– Że jestem twoim satelitą.

– Tak, ja ciebie też – odparł, wzruszając ramionami. Miko zmarszczyła brwi.

– Dobranoc.

*

Jak dzieci, pomyślała Rudze z dziwnym smutkiem, patrząc jak Hugo sięga dłonią po kawałek pomidora i za pomocą widelca tworzy katalpę. Naginając palcem sztucce, skierował broń ku Miko, która nie spodziewając się niczego, w spokoju jadła tosty z dżemem.

Kobieta odwróciła się do okna, za którym dopiero zaczynało wscho-





dzić słońce, i zbliżyła do ust filiżankę czarnej kawy. Nie potrafiła dzisiaj spać, od kiedy zobaczyła w telewizorze postać małej Miko i usłyszała rzeczy, których wolałaby nie usłyszeć. Myśląc o tym po raz kolejny, poczuła bolesny ucisk w żołądku i zrobiło jej się niedobrze. Przymknęła oczy, wsłuchując się w Sonatę księżycową Beethovena, rozbrzmiewającą w każdym skrawku kuchni.

– Cudownie – mruknęła Miko, spoglądając, jak warzywo wolno zjeżdża z góry hełmu, zostawiając za sobą czerwono mętne ślady.

Rudze spojrzała na rozradowanego chłopca i uniosła brwi wysoko, aż zniknęły pod grzywką. Jednak gdy jej wzrok spoczął na twarzy Miko, złagodniała, a w oczach pojawiło się więcej przenikliwości. Patrzyła na nią chwilę tak, jakby świat dookoła niej nie istniał, na jej jasne, umorusane dżemem włosy i skórę, która znów wydawała jej się bledsza. Rudze zmrużyła oczy, starając się poukładać myśli. Wiedziała o dziewczynie coś, czego nie wiedział jeszcze nikt na całym świecie, i nie wiedziała, co z tym zrobić. Było tylko to, co zrobić powinna.

– Muszę iść – powiedziała krótko, hałaśliwie odstawiając filiżankę do zlewu i chwytając ścierkę z blatu. Podeszła do Miko i szybko przetarła powierzchnię zabrudzonego hełmu. – Do zobaczenia.

Rzuciła Hugo szybkie, miłe spojrzenie i ucałowała czubek hełmu Miko, po czym odprowadzana wzrokiem ich obojga, zniknęła. Milczeli, bo doszła do nich ta straszna rzecz, że to był ostatni raz, gdy widzieli Rudze. Miała na sobie zielony, rozciągnięty sweter z guzikami, powtórzyła szybko w myślach Miko, brązowe włosy spięte w kok, dzinsy, białe półuśmiech. Chciała ją zapamiętać jak najlepiej, nieważne, na jak długo.

– Chciałbym zagrać w Monopol – powiedział szczerze Hugo, bawiąc się pustym już widelcem. Spojrzał na dziewczynę, której oczy rozszerzyły się w zdumieniu. – Zagramy?

Przez kilka godzin zachowywali się, jak gdyby mieli jeszcze mnóstwo czasu, wcale nie pół dnia ale wbrew pozorom nie było to złe, może potrzebne. Jedli karmelowe lody i leżeli na włochatym dywanie, rozmawiali o filmach i zamykali się w szafkach, zrobili jeden niesmaczny obiad i próbowali grać na starym flecie, czytali kosmiczne komiksy

i zastanawiali się, ile dni zostało do wiosny, ale kiedy zrozumieli, że już dawno minęło południe, obydwoje poczuli, że muszą przestać.

– To miała być nasza ostatnia wiadomość – powiedział Hugo, przykładając flamaster do kremowej ściany. – Tylko że nie mam pojęcia, co napisać.

Stał tyłem, z opuszczonymi rękoma, wpatrując się w łysą ścianę. Miko zrobiło się żal, bo wiedziała, że Hugo ma w sobie tysiące myśli i pragnień, których nigdy z siebie nie wyrzuci, i to pozbawia go wolności.

– Raczej coś szczerzego – powiedziała Miko, patrząc na jego stopy. – Cokolwiek.

Wiedział, że wszystkie niedokończone myśli w jego głowie zaczynają się od jednego imienia. Gdy o tym myślał, złość kaleczyła jego wnętrze, podgrzewała krew i wypalała mięśnie. To krótkie imię było wszystkim. Powodem, dla którego czuł się nikim więcej, niż tylko cieniem kogoś podobno wspaniałego.

Gdybyś zapytała, jak się czuję bez niego, pomyślał. Gdybyś nie była tak chora z tęsknoty. Gdybyś zobaczyła, jak wielki balon nad tobą nagle pęka jak bańka, a ja znikam, czy zrozumiałabyś, że powinnaś kochać nas jednocześnie? Twoje omlety, precle, kosmos, ta muzyka w kuchni, kosmos i ten sam obrus, to samo powietrze, wszystko takie ulubione i przesiąknięte kosmosem, nim, nawet te tklive gesty, szkoda, nigdy ich na mnie nie próbowałaś, to są śmieci. Gdybyś powiedziała, że też jestem tym wyjątkowym, że w ogóle jestem, dobrze, że jestem, jestem sobą, Hugo, że ja żyję. Każde pasmo twoich włosów, drżenie głosu i ruch warg, gdy przeżuwasz i uderzasz sztućcami, zmarszczki między oczami i dotyk zimnych dłoni, tak bardzo, powinno się zamknąć ci usta, oczy, uszy, abyś oszalała bardziej niż ja, nie potrafiła płakać, wyć, oddychać, kochać.

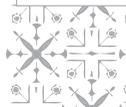
To żałosne i zupelnie:

– Nieważne – powiedział krótko, odwracając się z ćwiartką uśmiechu. Spojrzał na ziemię. – Chodź, Miko. Zrobię z nas astronautów.

Gdy wstała, uzmysłowiła sobie, że byli tego samego wzrostu.

– Freddie mówił, że nigdy nie będę astronautą.

– On wiele rzeczy mówił. – Hugo wyszedł z pokoju, zbiegając po





schodach z dziwnym ciężarem. Jego głos brzmiał chłodniej. – W tym to, że jeśli kiedykolwiek umrze, to będzie to śmierć bohatera. – Odwrócił się – I spójrz, co zrobił.

– Nie mam żalu – odpowiedziała, widząc jak patrzy na jej skafander.

– To dlatego, że jesteś Miko od Freddiego – opuścił wzrok.

Tak było, rozumiała, gdy przechodzili przez tylne drzwi ku szklarni. Bycie w tym miejscu, przy Hugo, Rudze, ich własnym rodzaju kosmosu, było jej bezpieczeństwem, namiastką starych marzeń. I chociaż sprawiało jej to przyjemność, w tym smutnym świecie spóźnione marzenia nie miały największej wartości.

Tak wspinały, myślała Miko, patrząc, jak ogromny balon swobodnie powiewał na lekkim wietrze ponad budynkiem.

Może Miko była już zużytym egzemplarzem, a może zwyczajnie spadła z innej planety, zapomniawszy o tym ze względu na upadek, i całe życie tylko tęskniła, aby znów tam wrócić.

*

Gdy Rudze znalazła się wśród ludzi, nie mogła pozbyć się wrażenia, że nagle stali się oni bardziej rozmowni i ożywieni, weselsi i kolorowi. Idąc zatłoczonym tunelem ze zdziwieniem patrzyła na dziwnego starca, z białą brodą zakręconą wokół szyi, który posłał jej gigantyczny uśmiech, tak szczery i poruszający. Poczowała, że smutek pochodzący ze świadomości tego, co musi zaraz zrobić, przenika przez nią, odsuwając od siebie działania jakichkolwiek uśmiechów, choćby najpiękniejszych. Oddychając nerwowo, spoglądała na czubki swoich butów, gdy zadzwonił jej telefon.

– Rudze – mówił podekscytowany głos ze słuchawki, dysząc z uciechy. – Nie uwierzysz.

Jakaś niska kobieta, ubrana w długi, beżowy płaszcz stała obok kwaciarni i wychylając się do przodu, z twarzą zarumienioną od emocji i łzami w oczach, rozdawała przechodniom wszystkie swoje kwiaty, krzycząc: „Ludzie, jesteśmy wolni!”. Rudze przystanęła na środku tunelu, popychana ludźmi.

– Co mówiłeś? – zapytała mężczyzny. Przycisnęła mocniej komórkę

do ucha, z sercem tłukącym się w piersi.

– Koniec z Contagium! – krzyczał. – Rozumiesz? Te trujące substancje zarażonych organizmów zaczynają słabnąć, bo, to oczywiste, nikt już ich nie bierze. One słabną i wkrótce znikną zupełnie. Contagiści nie stanowią już zagrożenia. Słyszysz? To koniec.

Kwaciarka podeszła do niej, wkładając w jej dłoń bukiet białych chryzantem. Posyłając jej uśmiech, może największy w całym swoim życiu, odeszła, by zaczepiać innych ludzi. Rudze patrzyła na kwiaty, których białe płatki jak słońce lży spadały na ziemię.

– Możesz przytulić Miko.

Na chwiejących się nogach Rudze szła dalej, pamiętając tylko o tym, że musi pojawić się na umówionym miejscu.

– Miko nie jest zarażona – powiedziała krucho, gubiąc kwiaty. – Nigdy nie była.

– Co?

Szła dalej, wspinając się na schody peronu. Jej oddech stał się płytki, a głos cichy i słaby.

– Jej skóra nigdy nie świeciła się tak, jak mogłyby świecić się gwiazdy. Ciągle zdawała się bledsza, co było wynikiem operacji laserowych, żeby jej skóra nie była niebieska. Nie wiedziałam tego do wczoraj. A babcia – zmarła ze starości, gdy zasypiała dotykając się ramionami. Miko nigdy nie była winna, wiesz? Ale kto mógł jej to powiedzieć?

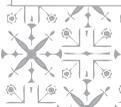
Tak cicho.

– Naprawimy ją – powiedział nagle mężczyzna. – Rudze? Skąd możesz to wszystko wiedzieć?

– Wczoraj – wspięła się na ostatni stopień, starając się złapać oddech – widziałam to w telewizji. Mówili to, szukając jej. Chciałam ci to powiedzieć, ale to przecież... Miko, nie możemy jej ot tak oddać.

– Oddać komu? Kto jej szukał?

Podniosła głowę, pośród tłumu dostrzegając jej bardzo szczupłą sylwetkę. Stała tyłem, wysoka, ubrana w błękitny płaszcz i brązowy szal. Jej włosy, krótkie, kręcone i potargane, miały znajomą perłową barwę. Gdy odwracała się, Rudze dostrzegła zmarszczki wokół jej olbrzymich oczu, oczu błąkających się po twarzach ludzi w zdenerwowaniu.





80

Eliza
Budziach

I wtedy ta kobieta, którą Rudze widziała po raz pierwszy w życiu, również ją zobaczyła i zamierając, dotknęła półotwartych ust koniuszkami białych palców.

– Oddać komu? – powtórzył głos ze słuchawki.

Patrzyły na siebie, nie mogąc przestać, gdy nagła fala podekscytowanych ludzi przysłoniła im swój widok, wyciągając ręce ku niebu.

– Co to jest? – zapytał jakiś wysoki głos.

– To balon. Całkiem spory.

Rudze podniosła wzrok ku błękitowi i zmrużyła oczy przed nowym promieniem słońca. Najpierw dostrzegła flagę, która zaczepiona do wiklinowego kosza balonu powiewała jak maszt, flagę, która była kosmiczną peleryną. A później, co może sobie zmyśliła, zauważyła dwoje ludzi w skafandrach, którzy oddalając się wśród promieni słońca, w końcu zniknęli w chmurach.

*

– To... wolność? – zapytał niepewnie Hugo, mrużąc oczy przed słońcem. Trzymając się wiklinowego kosza, obserwował jak Miko, której oczy migotały już swoim blaskiem, stoi z głową pochyloną ku ziemi. – To wolność, Miko?

Zdjęła z głowy hełm, pozwalając, by blade włosy przykryły całą jej twarz. Chmury wyglądały tu jak smugi dymu, którymi można oddychać i smakować, i dotykać. Patrzyła ponad głowę Hugo, jak zbliżają się, takie doskonałe, doskonalsze niż wszystko, co widziała.

– Miko? – zapytał, próbując znaleźć się w jej spojrzeniu. Nie odpowiedziała mu, przybierając na twarz wyraz pełen delikatności. Milczała, gdy złapał ją za ramiona, przyciągając do skorupy swojego skafandra. Gdzie może być Miko, myślał dotykając policzkiem jej włosów, skoro... jest tutaj. Jej skóra była miękka i ciepła.

Astronauci, śniła Miko, wędrując po niebie, to najlepszy rodzaj ludzi. Astronauci...

– To twoja planeta – szeptała kobieta ponad jej uchem, zabierając chudą dłoń sprzed jej oczu. Stały na samej krawędzi wysokiego pagórka, otoczonego mniejszymi. Powietrze miało zapach delikatnych per-

fum kogoś, kogo musiała kiedyś poznać, i pomarańczy, pomyślała ze zdziwieniem, i wolności, jeśli to możliwe.

Na granatowym niebie, niesamowicie blisko siebie widziała planety i inne ciała niebieskie. Pluton, zdumiała się, czując jak na twarzy wyrasta jej uśmiech. Czy tam mieszka Freddie?

– Możesz go odwiedzać – mówiła. Miko odwróciła się do niej z wzrokiem wbitym mocno w jej ogromne, piwne oczy. Uśmiechała się tak, jak uśmiechają się matki.

Ponad jej ramieniem zobaczyła ogromny fotel, nad którym wystawał pióropusz kapelusza. A z prawej strony stół, zastawiony preclami i ludźmi, którzy przez moment coś znaczyli. To piękna planeta, pomyślała Miko, tylko, nie może być moja.

– Hugo, ja – powiedziała w przestrzeń – nie potrzebuję już kosmosu.

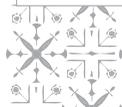
Spojrzała na niego, pośród chmur i słońca, które przecinało jego twarz cieniem. Z błądząco na twarzy, usiadła w środku kabiny, nie mogąc pozbyć się tego zdania z głowy. Zawsze zdawało jej się, że to kosmos był wolnością. I może faktycznie nią był, ale teraz uświadomiła sobie, że z jakiegoś powodu chciała tej wolności więcej, niż kiedykolwiek potrzebowała.

– To dobrze – odpowiedział krótko, wypuszczając z balonu trochę powietrza. – Bo zostawiłem na dole jedzenie.

Jak dzieci podróżujące magicznym koszem uśmiechali się do siebie, pokazując sobie malutkie drzewka i jeszcze mniejszych ludzi. Może zwyczajnie, myślała Miko, kosmos zmienił miejsce. Może kosmos był tylko wolnością, za którą tęskniła. Jedyną namiastką porządku w jej świecie.

Kosmos to te uśmiechy w chmurach, to widok Rudze, która pachnie pieczywem, to widok szklarni z magicznego pokoju i smak cukierków w pomarańczowych sreberkach. To dokładnie ten moment, i każdy następny.

Jeśli wolność to kosmos taki jak ten, obydwójce zostali astronautami.





Echo

Dominika Szapar

I

– Panie Collins, jest już bardzo późno – sprzątaczką nieśmiało zwróciła mu uwagę zachrypniętym głosem. Oderwał wzrok od monitora. Faktycznie, było już całkiem ciemno. Spojrzył na nią spod ciemnych włosów zasłaniających mu podkrążone oczy.

– Tak. Chyba ma pani rację – patrzył jeszcze przez chwilę w jej stronę, a potem wyłączył komputer, założył ciemny płaszcz i wyszedł z biura, w którym o tej porze już dawno nie powinno go być.

Był wiosenny wieczór. Wiał chłodny wiatr niosący ze sobą mżawkę. Mężczyzna szedł szybko. Światła samochodów i telebimów odbijające się w kałużach, szum autostrad i wycie policyjnych syren dobiegające z oddali tworzyły kolaż razem z ciemnością nieba nad wieżowcami.

Zobaczył na przejściu dziewczynkę. Miała jasne włosy i bardzo delikatną twarzyczkę. Wcale nie była do niej podobna. Mimo to bardzo ją przypominała. Zdenerwowany przyspieszył kroku.

W domu – zamiast wziąć długą kąpiel czy położyć się szybciej spać – wrócił po prostu do swojej pracy. Palce zaczęły szybko poruszać się po klawiaturze, a jego mieszkanie wypełnił tylko stukot klawiszy i szum wiatru zza okna. Joseph nawet nie wiedział, kiedy zasnął z policzkiem opartym o klawiaturę.

Następnego dnia podczas przerwy obiadowej podszedł do niego szef działu. Wydawał się naprawdę przejęty.

– Joseph, może powinieneś z kimś o tym pogadać, wiesz? – zaczął nieco zbyt wysokim głosem.

Collins nie odpowiedział. Patrzył tylko przed siebie spokojnie słuchając jego bezsensownej paplaniny.

– Nie zrozum mnie źle – kontynuował tamten, żywo wymachując rękami, wyraźnie sfrustrowany. – Jesteś świetnym pracownikiem. Nigdy się nie spóźniasz, przychodzisz nawet przed czasem. Nie opuściłeś ani jednego dnia i nie wykorzystałeś urlopu. Nigdy nawet nie wyszedłeś na przerwę, żeby zjeść coś w barze. Stary, naprawdę nie chcę, żebyś mnie źle rozumiał, ale może powinieneś wybrać się do specjalisty? – Poruszony uważnie patrzył na podwładnego, wyczekując jego reakcji. Po chwili Joseph Collins wymamrotał po prostu:

– Yes, sir – pożegnał się i odszedł, a do swojej listy zadań dodał: „Zapisać się do specjalisty”.

II

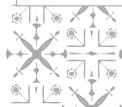
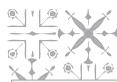
– Przepraszam, kto do dr MacKenzie?

Przez chwilę nikt mu nie odpowiadał. W końcu kobieta w średnim wieku rzuciła tylko:

– Wszyscy.

Usiadł na wolnym krześle w korytarzu. Przed Collinsem siedziało jeszcze pięć osób. Miał wrażenie, że czas się tutaj zatrzymał. Panowała tu grobowa cisza przerywana tylko nerwowym przerzucaniem stron gazety przez kobietę, która – sądząc po dużej teczce i trzęsących się dłoniach – być może właśnie zaczęła swoją karierę nauczycielską. Następny był łysy mężczyzna o potężnej posturze. Miał puste oczy. Cały czas patrzył przed siebie. Obok niego siedziała nastolatka: na nosie miała okulary przeciwsłoneczne, a spod rękawów bluzy wystawały jej bandaże. Uśmiechała się do ściany. Kiwała głową, jakby słuchała muzyki, choć przecież nie miała słuchawek. Ostatnia była kobieta, która mu odpowiedziała. Przez chwilę na niego patrzyła, zamyślona. Miała zaczerwienione oczy i poważny wyraz twarzy. Wyglądała na zapłakaną. Słychać i widać było, że oddycha trochę szybciej niż powinna.

Collins się zastanawiał co właściwie powinien powiedzieć w gabinecie. Jaki jest jego problem? Dużo pracuje, nie może spać. Wiedział,



dłaczego. Myślał o swojej siostrze Zoe. Dziewczynce, która umarła przez niego, gdy miała ledwie dziesięć lat. Dochodziła już prawie osiemnasta, a siedziało przed nim parę osób. Zaniepokojony zapytał:

– Przepraszam, kto ostatni do pani doktor? Mam wizytę na godzinę osiemnastą.

Wszyscy spojrzeli na niego, ale szybko odwrócili głowy, tak jakby pytanie nie padło. Po chwili odpowiedział mu tylko łysy mężczyzna:

– Nikt nie jest zapisany na godzinę. Przyszedłem tutaj, bo muszę z nią porozmawiać i poprosić o wypisanie leków. Jeżeli jakiegos pacjenta nie będzie, wejdę tam na chwilę.

– Jak to? Przecież rejestracja była pełna... zapisałem się tylko dlatego, że ktoś w ostatniej chwili zrezygnował z wizyty.

Wtedy z gabinetu wyszła bogato ubrana kobieta w okularach i peruce. Zostawiła otwarte drzwi.

– Zapraszam, Panie Collins! – z wnętrza dobiegł kobiecy głos
Mężczyzna wstał i wszedł do gabinetu.

Ściany miały przyjazny kolor kawy z mlekiem. Z radia przy oknie cicho płynęła muzyka w starym dobrym stylu. Przy ścianach stały regały wypełnione książkami. Pomiędzy nimi znajdowało się wielkie biurko, za którym w wielkim fotelu siedziała kobieta. Na głowie miała kapelusz. Zielone oczy uważnie przypatrywały się pacjentowi.

– Proszę usiąść.

Spoznał w fotelu naprzeciwko niej. Cały czas się do niego uśmiechała.

– Niech pan wybaczy, wypełnię tylko parę papierów, to zajmie dołkądnie sekundkę. Może pan wyłączyć muzykę albo nastawić coś innego. Jeżeli Pan chce, może pan przejrzeć jakąś książkę z półki. Proszę się nie krępować.

Wolał jednak posiedzieć w miękkim fotelu. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo był zmęczony. Zamknął na chwilę oczy i głęboko się zamyślił. Coś wyrwało go z zamyślenia.

– Nazywam się Maya MacKenzie. Panie... Joseph Collins, co pana do mnie sprowadza?

– Za mało śpię. Mój szef twierdzi, że za dużo pracuję. Proszę wybaczyć moją ciekawość – zaczął niepewnie, nie chciał być nieuprzejmy. – Dlaczego ma Pani kapelusz na głowie?

Zaśmiała się uroczo.

– Niektórzy nie rozstają się z pierścionkami czy bransoletkami. Ja nie mogłabym wyjść z domu bez kapelusza. Prawdę mówiąc, w domu także często noszę kapelusze. A Pan ma coś, bez czego czuje się źle? – zadała pytanie, ale nie czekała na odpowiedź. Z uśmiechem kontynuowała. – Z pewnością nawet w długie weekendy nie rozstaje się Pan z worami pod oczami. Tak. Pewnie jest pan wzorem dla pańskich kolegów.

– Niezupełnie. Właściwie nie rozmawiam z wieloma osobami. Nie lubię tracić czasu.

– Wie pan, że nie tylko praca może przynieść korzyści? Może ona sensownie zagospodarować czas. Co jednak, jeśli to nie efektywne gospodarowanie czasem jest pana problemem?

– Zapewniam Panią, że czuję się z tym jak najlepiej. Nie muszę wtedy zastanawiać się nad sprawami, które mogą sprawić, że będę marnował swój czas.

– Więc naprawdę chce pan rozwiązać swój problem?

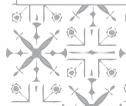
– Tak, po to tu przyszedłem. Nie chcę służyć szefa, który patrzy na mnie jak na wariata i na siłę chce mnie wysłać na urlop – odpowiedział nieco sfrustrowany.

– Możemy mówić sobie po imieniu, Joseph?

– Tak. Nie ma problemu, Maya.

– Czy chciałbyś mi opowiedzieć, czego dotyczą te niezręczne myśli, które są dla ciebie stratą czasu?

– Niezręczne? Nie. Raczej smutne. Nie chcę o nich opowiadać, ale po to tu przyszedłem... tak, po to tu przyszedłem. – Przez chwilę się nie odzywał, w końcu zebrał się w sobie, westchnął i zaczął opowiadać. – Gdy miałem osiem lat, zginęła moja siostra. Mieszkam w tym mieście od zawsze. Urodziłem się tu i tutaj studiowałem. Zginęła na jednym z przejeżdżań. Gdybym nie szedł wtedy taki zamyślony, nie musiałyby mnie odepchnąć i nie wpadłaby pod samochód. Nawet jeżeli byłem tylko dzieckiem i nawet jeżeli sam własnoręcznie jej nie zabiłem, to ona zginęła przeze mnie. Pamiętam, jak odwróciłem się i zobaczyłem jej okrwawione ciało na masce samochodu. Nie mogłem zrozumieć, co się stało. Miałem wrażenie, że sam stoję o wiele dalej i widzę to zdarzenie z dużej odległości. Chciałbym pamiętać, co się wtedy dokładnie stało, ale nie mogę dokładnie przywołać tych wspomnień. To było w końcu dwadzieścia lat temu. Chciałbym zobaczyć to jeszcze





raz. Chciałbym znać prawdę. Zawsze gdy nie mam zajęcia, myślę o niej, o tym, że przeze mnie umarła. Miała tylko dziesięć lat.

– Naprawdę wiele byś chciał – westchnęła Maya. – Jednak istnieje pewna możliwość przywołania tych wspomnień. Musisz mi jednak obiecać, że będziesz mnie słuchać. Joseph, przyszedłeś tu, by szybko rozwiązać ten problem i ja znam rozwiązanie. Czy chciałbyś poddać się hipnozie? Będzie to trochę innego rodzaju hipnoza niż zazwyczaj. Nie wczujesz się w samego siebie, a raczej stajesz z boku i zobaczysz to wydarzenie jeszcze raz. Nie jest to powszechnie uznana metoda, ale przyszedłeś tu na własną odpowiedzialność, prawda?

– Tak.

– Muszę cię uprzedzić, że przeżyjesz wielki szok, gdy zobaczysz to wydarzenie jeszcze raz. Jednak musisz zrozumieć, że to jedynie wspomnienia. Nie zmienisz swojej przeszłości, dlatego będziesz musiał słuchać mnie uważnie i opisywać dokładnie, co widzisz.

– Myślę, że to dobry pomysł, Maya. Wiesz, raczej rzadko daję się ponieść emocjom.

– To się okaże. – W jej oczach ukazał się cień zaniepokojenia.

Wstała i wyłączyła muzykę. Nastąpiła kompletna cisza.

– Słuchaj mnie uważnie. Rozluźnij się. Spokojnie oddychaj. Robisz się senny. Twoje powieki robią się coraz cięższe. Zamykasz oczy. Wokół znajduje się ciemność. Słyszysz mnie, Joseph?

– Tak, słyszę.

– Wróć do tego dnia, kiedy ostatni raz widziałeś swoją siostrę.

III

Było mi bardzo przyjemnie i miękko. Wokół było przyjemnie ciemno i cicho.

– Wróć do tego dnia, kiedy ostatni raz widziałeś swoją siostrę.

Zobaczyłem mój pokój. Wokół mnie znajdowały się gry. Przez chwilę przeciągałem się w łóżku. Naprawdę nie chciało mi się wstać.

– Spójrz na swoje dłonie.

Dłonie?

– Spójrz na nie, Josephie Collinsie.

Mam dłonie. Mogę na nie spojrzeć. Nazywam się Joseph Collins i mam osiem lat.

– Nie, Joseph. Masz 28 lat. Jesteś w swoim pokoju i myślisz, że masz osiem lat, ponieważ pragnąłeś zobaczyć jeszcze raz wydarzenia z tamtego dnia. Stań obok łóżka i spójrz na nie. Jesteś niewidoczny.

Pojawiłem się obok łóżka. Patrzyłem na małego chłopca, który nie chciał wstawać, jeszcze bardziej zakrył się grubą kołdrą. Miałem ochotę zdjąć mu ją z głowy.

– Jesteś obserwatorem, Joseph. Pamiętaj o tym.

Będę pamiętać.

– Przenieś się teraz do momentu, kiedy tego dnia przechodziłeś przez jezdnię, wtedy, kiedy coś złego stało się twojej siostrze.

Stałem przed jednym z wieżowców i patrzyłem na przejście.

– Patrz na przejście.

Patrzę.

– Kogo tam widzisz?

Ośmioletniego Josepha Collinsa.

– Spójrz na to w zwolnionym tempie. Jesteś poza czasem.

Tak, jestem poza nim. Dziesięcioletnia Zoe Collins patrzy, jak brat przechodzi przez jezdnię.

– Nie wolno ci rozmawiać z siostrą ani z sobą samym, rozumiesz mnie, Joseph? Nie wolno ci tego zrobić.

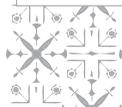
Wiem, co się zaraz stanie. Dziesięcioletnia Zoe Collins za chwilę będzie martwa. Mały Joseph nie patrzy na boki. Patrzy pod nogi. Na uszach ma słuchawki. Czego wtedy słuchał? Piosenki z jego ulubionej kreskówki.

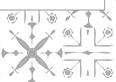
Widzę i czuję pchnięcie. Odwracam się szybciej, niż powinienem. Widzę jeszcze przez chwilę jej ciemne włosy, a potem jej ciało na masce samochodu. Nie mogę zrozumieć, co się dzieje. Jestem jednocześnie daleko i blisko. Dlaczego mnie popchnęła? Dlaczego nie krzyknęła, bym przyśpieszył. Może bym nie usłyszał?

Dziesięcioletnia Zoe Collins leży nieżywa na samochodzie, a ośmioletni Joseph biegnie szybko przed siebie za przejście.

– Joseph, to przeszłość. Nie daj się jej porwać. Wracaj!

Za późno. Szedłem już szybko przed siebie. Chciałem pomóc Zoe. Płakałem. Muszę jej pomóc. To nie może się tak skończyć. Nie może. Głos psycholog w mojej głowie cichł, aż w końcu całkiem zniknął, zdawał się być tylko zwykłym snem. Biegłem. Wokół zaczęły gromadzić





się ludzie. Kierowca wyszedł i złapał się za głowę.

– Co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem? – krzyczał. Minąłem go. Chwy-
ciłem siostrę za ramiona dłońmi dwudziestoosmioletka. Wtedy poczu-
łem na sobie czyjś wzrok. Odruchowo podniosłem głowę i zobaczyłem
ośmioletniego siebie patrzącego ze zdziwieniem w swoją własną, do-
rosłą twarz. Wszystko zaczęło się rozmazywać. Próbowałem trzymać
przy sobie ciało Zoe, ale ono zamieniło się w piasek i przeleciało mi
między palcami. To było jak migawka. Jakby ktoś pstryknął palcami.

Stałem na środku tego samego przejścia, a obok mnie szli ludzie.
Ktoś potrącił mnie barkiem.

– Panie, nie stój pan na środku ulicy!

*

Był zszokowany i zdezorientowany. Nie chciał, by ktoś go rozpoznał,
więc wszedł do sklepu i kupił bluzę z kapturem oraz okulary przeciw-
słoneczne. Założył je i naciągnął kaptur. Miał wrażenie, jakby był
gdzieś obok całej rzeczywistości. Nie bardzo wiedział, co się właściwie
wydarzyło. Gdy płacił, na ścianie za ladą zauważył kalendarz: 2013 rok.
Powinien więc mieć 22 lata

Nagle zauważył Zoe. Też tu była. Tak bardzo się zmieniła! Stała się
doroślią kobietą. Jej ciemnych oczu, w których zauważył charaktery-
styczne iskierki, nie pomyliłby z żadnymi innymi. Obserwował ją zza
wysokich wieszaków z ubraniami. Kiedy wyszła, ruszył za nią bezsze-
lestnie. Starał się na nią nie patrzeć, by nie wyczuła jego wzroku.
Mimo, że szedł parę kroków za nią, słyszał, jak głośno rozmawiała
przez telefon:

– ... tak, a ten idiota oddał mi pracę, którą pisał przez cały rok!
W gruncie rzeczy po prostu się zrewanżował, przecież to ja jego zawsze
ratowałam i kryłam. Ale za to jaki miałam ubaw, gdy zgłaszałam ano-
nimowo wychowawcy, co robił. Taak, w tym domu dziecka mieliśmy
przerąbane.

Dom dziecka?

– Wiem, wiem... muszę wybrać się na ich grób... No, przecież po-
chowali ich razem... Dzisiaj jest rocznica. Mama zginęła w wypadku,
a tata nie wytrzymał tego i się zastrzelił. Smutne, nie? Wybacz, ale nie
umiem opowiadać o tym w inny sposób! Psycholog powiedziałby, że

jeszcze się z tym nie pogodziłam – nienaturalnie się zaśmiała.

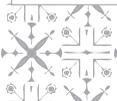
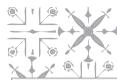
Czy właśnie tak miała wyglądać jego alternatywna rzeczywistość? Staął. Nie chciał dłużej słuchać tej rozmowy. Odwrócił się i poszedł w przeciwną stronę. Zoe zawsze była towarzyska, uśmiechnięta i bardzo inteligentna. Bardzo go kochała, była bardzo wrażliwa. Czy śmierć rodziców mogła ją aż tak zmienić? Czy naprawdę zmienił przeszłość? I dlaczego wylądował w świecie innym, niż pamiętał przed podróżą. Gdy spojrzął sam sobie w twarz, ciało jego siostry przemieniło się w piasek, a potem otoczenie wokół się zmieniło i znalazł się tutaj. Nie miał nic do stracenia. I tak nie wiedział, co się dzieje. Perspektywa utknięcia w tym świecie była zadziwiająca. Czuł się nieco otępiały, jak gdyby spał.

Szedł tak przed siebie i szedł. Mijało go wiele osób, jednak nie zwracał na nie uwagi. Nie zauważył nawet, gdy podejrzany typ wyciągnął mu portfel z kieszeni bluzy. Mimo że Joseph nie spał, określenie go w tej chwili lunatykiem byłoby całkiem bliskie prawdy. Zobaczył uniwersytet - wiedział, że tu studiował. Zgarbiony, patrzył na posuwające się do przodu stopy. Czuł rezygnację i niechęć do otaczającej go rzeczywistości. Nagle jakaś idąca szybko kobieta potrąciła go, a książki, które niosła, z hukiem wysypały się z jej rąk na podłogę. Schyliła się po nie tak, że nie mógł dostrzec jej twarzy i zaczęła je szybko zbierać, powtarzając pod nosem kierowane do niego słowa: przepraszam, przepraszam. Miała na głowie elegancki kapelusz, który zwrócił jego uwagę. Spod kapelusza wystawały grube, jasne włosy. Schylił się, żeby pomóc, i wtedy ujrzał jej twarz.

Wszystkie wspomnienia wróciły do niego natychmiast. Nic do niego nie docierało, tak jakby dźwięk i obraz przestały na chwilę istnieć. Nagły przypływ emocji sprawił, że Joseph upuścił książki, które pomagał kobiecie zbierać. Czyżby przybyła go stąd zabrać? Uśmiechnęła się do niego. Ocknął się z zamyślenia. Pozbierał raz jeszcze książki, wstał i podał jej. Nadal się uśmiechała.

- Jestem Joseph, nie pamiętasz? - zapytał nieco skołowany.
- Joseph? Nie przypominam sobie. Miło mi cię poznać, jestem Maya
- wyciągnęła dłoń na powitanie.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że ona po niego nie przyszła. Ta Maya była częścią tej rzeczywistości. Spojrzął na książki, które trzymała: Tajniki ludzkiego umysłu, Hipnoza, Teoria względności Einsteina...





– Też interesuję się hipnozą – odwzajemnił uśmiech
– Więc może pójdziemy razem na kawę i o niej porozmawiamy – zaproponowała swoim ciepłym głosem.

– Dobra. Ja stawiam – zanurzył dłonie w kieszenie spodni, jednak nic tam nie było. Sprawdził więc kieszenie bluzy, ale tam też nie było jego portfela. – Właściwie to chętnie bym się gdzieś przeszedł. – zaproponował zakłopotany.

– Daj spokój, każdemu zdarzy się zapomnieć portfela, najwyżej postawisz mi kawę jutro!

– Tak, jutro też powinniśmy się spotkać – przytaknął entuzjastycznie.

Trafili do przyjemnej kafejki, w której dominowała stonowana czerwień w parze z brązem. Ludzie nie rozmawiali tu głośno. Miało się wrażenie, że wszyscy mówili półszepem, co sprawiało, że w pomieszczeniu cały czas panował szmer. W głębi przystojny, ciemnoskóry mężczyzna w eleganckim garniturze grał na fortepianie spokojne jazzowe kawałki. Maya i Joseph usiedli naprzeciwko siebie. Po chwili podszedł do nich kelner.

– Witam! Co państwo zamawiają?

– Lubisz cappuccino? – spytała Collinsa. Przytaknął – W takim razie poprosimy dwa razy cappuccino. – Kelner skinął głową i odszedł. Joseph zdjął okulary i kaptur.

– Mam wrażenie, Joseph, że skądś znam twoją twarz.

– Może z innego wymiaru – zażartował.

– Wydaje mi się, że widziałam kogoś bardzo podobnego na uniwersytecie...

– Wiele osób mówi mi, że jestem podobny do kogoś, kogo już znam – odpowiedział z uśmiechem. Był jednak bardzo zdenerwowany.

Maya oparła brodę o dłonie i delikatnie przekrzywiła głowę w zaciekawieniu. Skoro jednak nie drążyła tematu, przeszedł na inny.

– Maya, interesujesz się innymi wymiarami, hipnozą. Od czego to się zaczęło?

– Od snów. Wiesz, wiele osób, gdy intensywnie o czymś myśli, ma wrażenie, a wręcz czasami nawet pewność, że pamięta sny, które były kontynuacją ich rozmyślań. Inne osoby twierdzą, że mogą osiągnąć

stan, w którym mają we śnie swobodę działania. To niesamowite, bo chyba domyślasz się, co to dla nich znaczy?

– Nie do końca – odparł nieśmiało.

Przewróciła oczami.

– To znaczy, że rzeczywistość snu można kreować. To tak jakby do snów przyciągać to, o czym myślisz, a nawet to, z czego nie zdajesz sobie sprawy. Gdy w życiu dzieją się złe rzeczy, wiele osób ma problem z koszmarami. To jest jak plastelina!

– Rzeczywistość jest jak plastelina?

– Nie rzeczywistość, tylko nasza psychika!

– Przecież to my kreujemy rzeczywistość, więc ona też musi być jak plastelina.

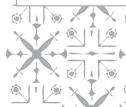
– Joseph, to tak nie działa. Jest tylko jedna rzeczywistość. Twoja rzeczywistość. – Miał ochotę zaśmiać się jej w twarz. To, co powiedział, wydało mu się absurdalne. Jednak wiedział, że ona sama dojdzie do tego wkrótce i dlatego nie tłumaczył swojego rozbawienia.

– Wiesz, myślę, że wymiary są osobne i można pomiędzy nimi podróżować – oznajmił.

– Dziwny pomysł. Nikt nie może zbudować maszyny pędzącej szybciej niż prędkość światła. Wymiary są przecież ponad prędkość i czasoprzestrzeń, więc na pewno nie da się między nimi podróżować. Poza tym wzajemnie się przenikają.

– Skąd to wiesz? Może rzeczywistość też jest jak plastelina?

– Joseph, to nie zmienia faktu, że każdy świat ma swoje nienaruszalne prawa. Myślę, że istnieją prawa wyższe niż prawa ścisłe, których po prostu nie jesteśmy jeszcze w stanie poznać. Ale kto wie? Może je też da się kiedyś opisać za pomocą matematyki, a może są czymś ponad materię. Słyszałam kiedyś bardzo ciekawą teorię na temat wielowymiarowości. Istnieje wiele teorii strun. Ta, o której słyszałam, mówi, że świat złożony jest dziesięciu lub jedenastu wymiarów. Pierwsze trzy to wysokość, szerokość i głębokość. Czwarty to czas. Piąty wymiar to rozgałęzienia na osi czasu, dzięki którym można wyobrazić sobie wymiar czwarty. Są to możliwości do wyboru. Szósty to równoległe światy, w których powstały inne piąte wymiary, inne możliwości. – Zaczęła mówić coraz szybciej. – Siódmy wymiar zawiera w sobie twórczą





nieskończoność. Ósmy posiada w sobie różne nieskończoności. Dziewiąty wymiar łączy wszystkie nieskończoności ósmego wymiaru, a dziesiąty to wymiar, w którym powstają wszystkie inne nieskończoności. Wymiar jedenasty, zwany też zerowym, kropką kwantową, jest pojęciem tak abstrakcyjnym i skomplikowanym, że trudno je wyjaśnić, a ja nie jestem fizykiem kwantowym... – kończąc wypowiedź głęboko odetchnęła i wzięła łyka kawy.

– Pewnie i tak bym wiele z tego nie zrozumiał. W końcu jestem tylko zwykłym ekonomistą – zażartował.

– Ja jestem tylko zwykłym psychologiem. Pięć lat temu skończyłam studia. Potem przeprowadziłam się tutaj. Przez rok byłam głównie na praktykach w różnych miejscach. W końcu udało mi się znaleźć stałe miejsce zatrudnienia w przychodni, ale chciałabym przyjmować prywatnie, miałabym wtedy większą swobodę działania.

– Widać, że pasjonuje cię to, co robisz. Szczerze mówiąc, ja znudziłam się moją pracą, ale nie ma nic innego, co umiałbym robić.

– A umiesz patrzeć, słyszeć i czuć?

– Tak, to potrafię.

– Więc to wykorzystaj, człowieku, masz tyle możliwości... A tak poza tym, gdybyś był moim pacjentem, powiedziałabym ci na pożegnanie: Do widzenia, panie... właściwie to jak masz na nazwisko?

– Collins.

– Do widzenia, panie Collins, i mam nadzieję, że nigdy więcej się nie spotkamy!

– To okropne, jako pacjent poczułbym się dotknięty.

– Daj spokój, Joseph, przecież uprzedziłabym cię o zamiarze takiego pożegnania wcześniej. Uważam, że to świetny pomysł. Przecież o to właśnie chodzi, prawda? Żeby poradzić sobie ze swoim problemem i nie potrzebować już pomocy.

– Mimo to takie pożegnanie nie wydaje mi się zbyt miłe.

– Widać, że jesteś bardzo emocjonalnym gościem.

– Emocjonalnym?

– Tak, przecież to emocje sprawiają, że idziesz dalej.

– Niemożliwe. Zawsze starałem się być rozsądny.

– Próbuj dalej – roześmiała się.

Nie do końca rozumiał, z czego właściwie śmieje się Maya, ale nawet nie zauważył, kiedy zaczął się śmiać razem z nią. Skinęła na kelnera. Podszedł. Zapłaciła za rachunek. Wstała, założyła płaszcz i kapelusz.

– Muszę już lecieć. Spotkajmy się tutaj jutro trochę wcześniej, może o siedemnastej. Pasuje ci?

– Pasuje.

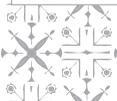
– W takim razie do zobaczenia!

I już jej nie było. Przez chwilę Joseph słuchał jeszcze spokojnego jazzowego fortepianu. Myślał nad tym wszystkim. Uwierzył, że będzie dobrze, uwierzył, że masz pieniądze w kieszeni – próbował wmówić sam sobie, ale to nie skutkowało. W końcu wyszedł. Zmierzał powoli w stronę parku. Tam na pewno nie mógł spotkać sam siebie. Pamiętał, że gdy był na studiach, nie miał czasu na nic. Studiował informatykę i ekonomię. Informatykę zaczął studiować dopiero w wieku dwudziestu jeden lat i zrezygnował po dwóch latach ciągnięcia dwóch kierunków.

Postanowił na nowo zastanowić się nad każdym szczegółem, na jaki patrzył. Spojrzał na drzewa, na trawę. Poczul wiatr na twarzy i przyjemny chłód wdychanego powietrza. Czuć było w nim wiosnę. Szum wiatru i cichy świergot ptaków tworzyły wspaniałą symfonię. Chodził tak po parku i przyglądał się ludziom. Na najbliższej ławce dwie kobiety plotkowały o czymś zawzięcie. Nieco dalej para trzymała się za ręce i karmiła okruchami gołębie, które po chwili odleciały przestraszone przez dziecko, które wybiegło przed swoich rodziców, spokojnym krokiem spacerujących w całkowitej ciszy. Było jednak sporo samotnie siedzących na ławkach osób. Niektóre z nich wydawały się nieobecne, jakby od rzeczywistości oddzielała ich gruba ściana..

Obserwując ich poczuł, że jest częścią tego świata w sposób, którego sam nie rozumiał; a może to ten świat był częścią niego? Nie martwił się ani nie myślał o tym, gdzie będzie spać tej nocy. Właśnie wtedy zanurzył dłonie w kieszeniach i poczuł w nich pieniądze. „Rzeczywistość jest jak plastelina” – przypomniał sobie.

Udało mu się wynająć pokój na parę dni. Joseph nie chciał myśleć, co będzie później. Położył się, ale nie mógł spać, a może po prostu nie chciał. Następnego dnia czas płynął mu bardzo wolno. Wstał, kupił sobie śniadanie, a potem zajął się czymś, czym nie zajmował się od



dawna, czyli niczym szczególnym. Zamiast pracować w pocie czoła obserwując notowania giełdowe firmy, w której pracował, po prostu bardzo spokojnie przechadzał się po mieście, w którym mieszkał od lat, a które tak słabo znał. Zabiegany rzadko udawał się choćby na krótkie spacery. Miasto bardzo zmieniło się od czasów, gdy był małym chłopcem. Nareszcie miał dość czasu, by obejrzeć jego stare zakamarki, do których nie zaglądał od lat, wejść do sklepów i butików, których nie zauważał w wirze pracy. Gdy w końcu dotarł do tej samej kawiarenki, w której był wczoraj, i zobaczył tam Mayę, bardzo się ucieszył.

– Cześć Joseph – powitała go z uśmiechem.

– Witaj, Maya, mam nadzieję, że nie będziesz miała do mnie pretensji, jeżeli zamówię sobie coś do jedzenia. Ty też coś zamów. Ja stawiam.

Siedzieli tak i rozmawiali, cieszyli się wspólnym posiłkiem. Nagle Maya zaczęła się rozglądać.

– Joseph, od początku kojarzyłam skądś twoje imię i nazwisko. Znalazłam wczoraj twojego maila na jednej z list projektów na uniwersytecie, z którego biblioteki korzystam. Napisałam do ciebie anonimowego maila z prośbą o spotkanie na osiemnastą. Jest osiemnasta. Spójrz, tam, za tą donicą siedzi facet, który wygląda zupełnie tak samo, jak ty. Czy możesz mi wyjaśnić, kim jest ten gość?

– Maya, bardzo chciałbym ci to wytłumaczyć, ale po prostu nie wiem, jak. To trochę tak, jakby wszystko było w moim śnie.

– Śnie?

– Może nie we śnie, po prostu w mojej wyobraźni. W każdym razie nie wiem, jak się z tego obudzić.

– Na pewno jesteś pewien, że czujesz się dobrze?

– Tak, wiem, jak to brzmi.

– Nie, Joseph, raczej nie wiesz. Wcale nie uważam cię za wariata, jeśli o tym pomyślałeś. Powiem ci coś. Gdybym ja utknęła we własnym śnie, po prostu położyłabym się spać i obudziła w rzeczywistości.

– Właściwie nie zrobiłem czegoś bardzo ważnego.

– Czego?

– Nie przemyślałem sprawy śmierci mojej siostry, z powodu której czułem się winny.

– Więc może przemyśl ją na żywo. W końcu śnisz, więc nie masz nic nie do stracenia.

– Co sugerujesz?

– Mogę wypożyczyć salę na uniwersytecie. Co prawda o tej godzinie w piątek są tam tylko sprzątaczkі, ale one raczej nie będą robiły problemu, jeżeli będę chciała tam przyjąć pacjenta. Mamy dobre układy.

– Maya, ale ja nie mogę spotkać się z tym człowiekiem, który siedzi przy oknie, rozumiesz? Musimy znaleźć inne wyjście.

– Dlaczego?

– Jeżeli spojrzę mu w twarz, wszystko się zmieni. Popatrz– wyjął z kieszeni swój dowód osobisty– jestem Joseph Collins i ten gość naprawdę też nim jest. Nie mogę mu spojrzeć w twarz, rozumiesz?– powtórzył zdenerwowany.

– Na pewno mają jakieś boczne wyjście – uznała Maya, zaniepokojona.

Wstała i podeszła do baristy. Zapytała go o boczne wyjście. Bez problemu je wskazał, ale zastrzegł, że jest ono dostępne tylko dla personelu. – Dzięki – rzuciła i odeszła z powrotem do stolika. Zaażożyła swój płaszcz i zdecydowanym głosem odezwała się do Collinsa:

– Spotkamy się pod głównym wejściem uniwersytetu za dziesięć minut. Ja zajmę go rozmową, a ty załóż okulary i kaptur. Nie patrz mu w twarz i szybko wyjdź. Najlepiej biegiem.

Udało się. Po dziesięciu minutach, tak jak planowali, spotkali się pod głównym wejściem.

– Co mu powiedziałaś?

– Powiedziałam, że pomyliłam go z kimś i bardzo go za to przeprosiłam. Zaproponował, żebyśmy wypili razem kawę, ale powiedziałam, że może kiedy indziej.

Wzięła od sprzątaczek klucz do sali. Kobiety przyglądały się Josephowi podejrzliwie. Nie miał zamiaru zdjąć przy nich okularów i kaptura. Być może kojarzyły jego „młodsza wersję”. Gdy już weszli bezpiecznie do sali, Maya zamknęła drzwi kluczem i zasłoniła okna.

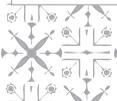
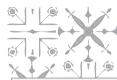
– Co właściwie chciałbyś zobaczyć?

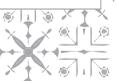
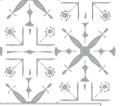
– Chciałbym, żebyś sprawiła, że stanę znowu na miejscu obserwatora i będę patrzył z boku, jak moja siostra umiera.

– Jeżeli mamy to zrobić, zróbmy to po mojemu.

– Czyli jak?

– Wprowadzę cię w stan hipnozy i podam ci miejsce, do którego się przeniesiesz, ale będę na tyle niedokładna, że nie będę sugerować, co





zobaczysz. Może dzięki temu zobaczysz więcej. To dość nowatorskie i nieprofesjonalne, ale co masz do stracenia?

– Nic. Mogę się jedynie obudzić– uśmiechnął się pod nosem.

– No właśnie.

Usiadł na krześle.

– Robisz się senny. Twoje powieki są coraz cięższe. Twoje „ja” robi się coraz lżejsze i lżejsze. Całkowicie się relaksujesz. Zamykasz oczy. Wokół znajduje się ciemność. Musisz mnie słuchać, Joseph, i wypowiadać swoje myśli na głos, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Jako bezstronny obserwator przenieś się do tego momentu, który cię tu sprowadził.

*

Stoję w tym samym miejscu, pod jednym z wielu wieżowców. Samochód jedzie szybko, ale ja się nie rozglądam, mam słuchawki na uszach.

– Co dzieje się dalej? Opowiedz. Jesteś widzem.

Ona zaczyna biec. Łapie mnie za tornister.

– I co wtedy, Joseph?

Oniemiałem.

Ona odciąga mnie do tyłu. Obydwoje żyjemy! Kierowca wysiada z samochodu... to tata! Obok niego, w wielkim, paraliżującym ją szoku, siedzi mama.

– Joseph, spokojnie. Jesteś obserwatorem. Kiedy policzę do dziesięciu, wrócisz do siebie. Raz, dwa, trzy... oddalasz się od tamtego miejsca, cztery... otacza cię ciemność, pięć... zaczynasz się przebudzać. Sześć, siedem, osiem, dziewięć... gdy powiem „dziesięć”, wyjdiesz ze stanu hipnozy, w który cię wprowadziłam. Dziesięć.

– Joseph, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zobaczyłeś?

– Tak, zobaczyłem coś innego, niż pamiętam!

– Wiesz, istnieje wiele możliwości rzeczywistości, któraś jest twoja. Zobaczyłeś po prostu jakąś inną... albo po prostu jesteś psycholem i bierzesz te wszystkie teorie zbyt poważnie. Skoro mamy to już za sobą, zbierajmy się.

– Nie uważasz, że to, co teraz zrobiła Zoe, było o wiele rozsądniejsze niż to, co zrobiła wtedy?

– Nie wiem, co masz na myśli, ale to możliwe. Skoro cię ratowała, działała pod wpływem silnych emocji, to działanie nie było przemyślane.

– Myślisz, że gdyby żyła, byłaby zupełnie inna, niż ją pamiętam? Niewrażliwa i zła?

– Joseph, zadajesz głupie pytania. Jeżeli zakładamy, że wszystko mogło potoczyć się inaczej, to ona faktycznie mogła zachowywać się inaczej, w pewien sposób być inna. Przecież wychowywałaby się w innej sytuacji, podejmowała inne decyzje.

IV

– Więc zawsze mogłaby się zmienić, nawet gdyby przeżyła w mojej rzeczywistości?

– Tak – odparła Maya zatroskana.

Odprowadziła go prawie pod same drzwi.

– Maya, wydaje mi się, że jutro się już nie spotkamy. Chciałbym się z tobą pożegnać.

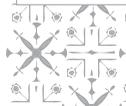
– Joseph, podróże między wymiarami? Kto wie, czy to nie jest po prostu twój wymysł? Nigdy nie będziesz naprawdę pewny, czy te alternatywne rzeczywistości naprawdę istnieją, czy może sam je wymyśliłeś. Jestem naukowcem. Wiem, że to wyobraźnia. Jednak sądzę, że tak naprawdę ona łączy się z rzeczywistością w przedziwny sposób, którego nie potrafimy zrozumieć. Ponad tym wszystkim, co odkryliśmy, istnieje coś więcej, coś, co sprawia, że wszystko trzyma się w jakimś porządku. Bardzo się cieszę, że się poznaliśmy, nawet jeżeli był to tylko sen, a rano nic nie będę z tego pamiętać! – powiedziała z uśmiechem. Wzruszony, przytulił ją na pożegnanie.

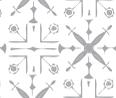
– Do zobaczenia, Maya.

– Tak, jeszcze kiedyś się spotkamy, Joseph.

*

Położył się spać z uśmiechem na ustach. Być może gdzieś indziej jego siostra była szczęśliwa. Zamknął oczy. Wtem coś wyrwało go z zamyślenia. Zamrugał parę razy. Siedział w miękkim fotelu w pomieszczeniu urządzonej jak gabinet terapeuty. Ściany miały przyjazny kolor kawy z mlekiem. Z radia przy oknie cicho płynęła muzyka w starym dobrym stylu. Przy ścianach stały regały wypełnione książkami.





Przed Josephem stało wielkie biurko, za którym w wielkim fotelu siedziała kobieta. Na głowie miała kapelusz, a jej zielone oczy uważnie się mu przyglądały.

– Nazywam się Maya MacKenzie. Panie... Josephie Collins, co pana do mnie sprowadza?

– Właściwie nic szczególnego. Czuję się już całkiem dobrze – stwierdził po chwili namysłu.

Zaśmiała się.

– Gdyby więcej ludzi czuło się lepiej od samego faktu przyjscia do mojego gabinetu, świat byłby naprawdę lepszym miejscem.

Joseph wstał i założył swój ciemny płaszcz.

– Właściwie powinienem wracać do pracy. Tam w poczekalni jest parę osób, które bardzo pani potrzebują.

Stał już przy drzwiach. Nacisnął klamkę

– Do zobaczenia, panie Collins.

Odwrócił się do niej i odpowiedział z uśmiechem:

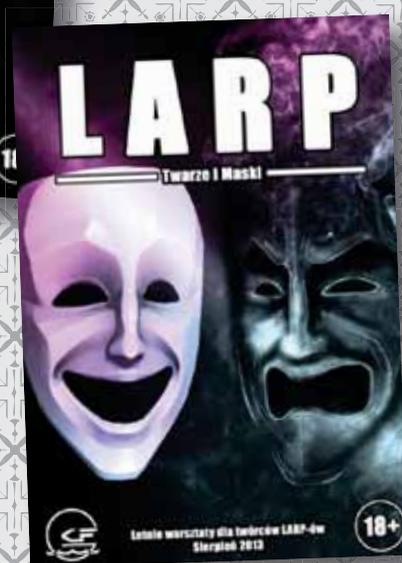
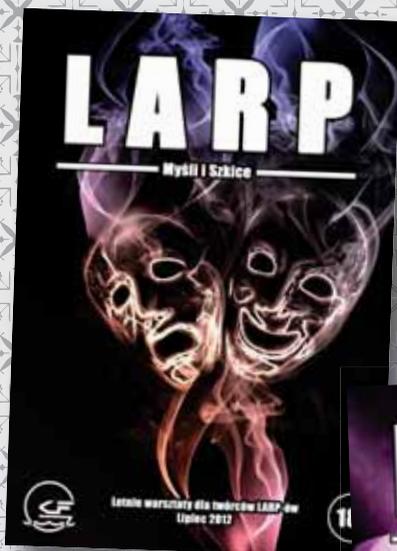
– I mam nadzieję, że nigdy więcej się nie spotkamy.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i uśmiech.

Gdy Collins wyszedł z budynku, poszedł wolno przed siebie. Na jednej z ławek, z książką w dłoni, siedziała kobieta. Jej twarz była pusta, a przy tym bardzo smutna. Uśmiechnął się do niej, a kiedy zauważył, że na niego spojrzała, usiadł obok.

– Przepiękny wieczór, nieprawdaż? – zagadnął, spoglądając na bezchmurne niebo.

👉 A może chcesz pisać scenariusze LARP-ów?



Dowiedz się więcej.

Zapytaj o nasze publikacje z letnich warsztatów larpowych.



gkf.org.pl

Publikacja non-profit
wydana w ramach projektu
„Warsztaty pisarskie dla młodzieży
2013 poziom podstawowy”



Dofinansowano ze środków
Miasta Gdańska

ISSN 1505-8476



9 771505 847001